

Ludzie, którzy jeszcze żyją



CZESŁAW HALICZ

Ludzie, którzy jeszcze żyją

Staroświeckie dagerotypy¹, którym patyna czasu nadała pewien wdzięk i dostojeństwo?

Przeżytki dawnych czasów — przyczynek do historii i folkloru?

Bajki o dawnych wydarzeniach i o dawno umarłych ludziach? Nie. Tacy ludzie jeszcze żyją i mocno trwają w życiu małego żydowskiego miasteczka.

Jak się nazywa to miasteczko? Łask, Gawrolin, Żgów czy Kałuszyn? Cóż za różnica?

Wszystkie są do siebie podobne, jak te bezimienne mrowiska rozsypane po lesie.

W naszym miasteczku była i jest jeszcze zapewne sadzawka, zarosła pleśnią martwa, stojąca woda. A naokoło tej sadzawki stały małe drewniane domki.

I zapytywał się pewnie człowiek przejezdny, podróżnik z dalekiego świata, jak nad tą martwą wodą mogą żyć ludzie i wdychać w siebie woń pleśni.

A jednak, rodzili się, żyli, cierpieli i czasem się radowali.

O życiu tych ludzi z bezimiennego miasteczka chcę wam opowiedzieć w tej książce.

Nie jest ono zaiste wesołe i intensywne, lecz nie jest tak beznadziejnie monotonne i smutne, jakby wam wydawać się mogło: przecież i na spleśniałych wodach naszej sadzawki zakwitały czasem nenufary.

FAKTOR PCHEŁKA I JEGO CÓRKA

Kręciło się w naszym miasteczku wielu drobnych, czarnych i ruchliwych Żydków, których podstawy egzystencji były prawdziwą tajemnicą.

Najbiedniejszy przekupień miał swój kramik lub choćby kosz z towarem, rzemieślnik swój warsztat lub warsztat swego majstra, woźnica swego nędznego konia, a tragarz swoje plecy.

Ale trudno było pojąć, z czego żył na przykład taki Uszer Pchełka i podobni do niego ludzie.

Nazywało się, że jest faktorem, to jest pośrednikiem w różnych interesach, ale w naszym miasteczku wszelkie interesy były tak bezpośrednie, a zyski tak drobne, że trudno doprawdy było o zarobek dla trzeciego człowieka. Przy wyjątkowym szczęściu można było wywęszyć, uchwycić i przeprowadzić jakąś transakcję handlową, ale Pchełka nie tylko nie miał tego wyjątkowego szczęścia, lecz był skończonym pechowcem.

Na przykład razu jednego udało mu się przyczepić do sprzedaży dużych lasów, cudem wymowy i sprytu przeprowadził do końca tę transakcję, a oto w kilka dni przed podpisaniem aktu u notariusza lasy te doszczętnie spłonęły.

A jednak mimo wszystko faktor Uszer Pchełka, w jakiś tajemniczy sposób żył i wychowywał, jak mówiono „ponad stan”, swoją jedyną córkę, Mariem.

Przed wszystkim umieścił ją na tak zwanej Wyższej Pensji² Żeńskiej pani Gancowej.

Pani Gancowa, osoba pełna kastowych przesądów (bo każda sfera ma swoją arystokrację), robiła zrazu pewne trudności.

— U mnie na pensji uczą się tylko panienki z najlepszych domów — mówiła.

W końcu jednak uległa prośbom Pchełki i przyjęła na swoją pensję Mariem, która z czasem stała się chlubą tego skromnego zakładu naukowego.

Handel

¹dagerotyp — obraz fotograficzny utrwalony na metalowej płycie; technika wynaleziona w 1839 przez Louisa Daguerre'a. [przypis edytorski]

²pensja — prywatna szkoła żeńska, zwykle z internatem. [przypis edytorski]

Mariem nie była ani brzydka, ani ładna: małego wzrostu, szczupła i ciemna, jak jej ojciec. „Prawdziwa pchełka” — mówiły o niej koleżanki.

Oczy jej miały wyraz poważny i rozumny, a wąskie, zwykle zaciśnięte wargi potrafiły się z rzadka uśmiechać powabnie i czule.

Podczas całego pobytu na pensji pani Gancowej Mariem Pchełka nie była nigdy gorzej ubrana od innych dziewcząt, miała wszystkie podręczniki szkolne, regularnie uiszczala opłatę i nawet... dawała nie mniejsze od innych panienek składki na różne cele dobroczynne.

Jakim cudem wydostawał Uszer Pchełka pieniądze na te wydatki? Tu już chyba sprawdza się powiedzenie, że „miłość dokazuje cudów”.

Dziwne to jest zaiste, lecz niezaprzeczone, że wszelkie czysto materialne zabiegi, jeśli osiągnięte są przez prawdziwą miłość, mogą się przeinaczyć w sprawy tajemnicze i niemal mistyczne.

Kiedy Mariem skończyła pensję, postanowiła wyjechać do Warszawy i wstąpić na kursa³ maturalne.

Lecz wówczas Uszer Pchełka przemówił do córki w sposób następujący:

— Mariem, ja nie mogę z tobą jechać do Warszawy, bo tam oboje umrzemy z głodu. A żyć tutaj bez ciebie także nie mogę, jak człowiek nie może żyć bez powietrza. Więc zlituj się nad starym ojcem i pozostań tutaj ze mną. Ja zarobię, ja muszę zarobić dla ciebie na posag i wydam cię za jakiegoś inteligentnego człowieka, może nawet za doktora i wtedy będę mógł spokojnie zamknąć oczy.

A kiedy tak mówił Uszer Pchełka, nie powodował nim, mimo pozorów, cel egoistyczny. Wierzył on święcie, że jedyną możliwością szczęścia dla kobiety jest małżeństwo, i takiego szczęścia pragnął dla córki.

Wiedział, że nie zwalczy światopoglądu córki, więc odwołał się po prostu do jej serca — i zwyciężył: Mariem pozostała w domu ojca.

Mówiąc o zdobyciu posagu dla córki, Uszer nie miał żadnych określonych widoków lub nawet planów. Postanowił tylko przekroczyć granice możliwości, to jest więcej jeszcze pracować i zabiegać jak dotąd.

Lecz oto los, tak zwykle dla niego niełaskawy, uśmiechnął się nareszcie do Uszera Pchełki.

Otrzymał on pewnego dnia list z południowej Ameryki, z Peru, od kuzyna, który wyemigrował tam przed dziesięć laty.

Kuzyn ów pisał do Pchełki, że stęsknił się za krewnymi, których tak dawno nie widział i wkrótce zawita do rodzinnego miasteczka.

Uszer Pchełka był po prostu uszczęśliwiony.

Dla niego, który umiał przyczepiać się do jakiś fantastycznych, niemal nieistniejących interesów, cudem zręczności czerpiąc z nich drobne zyski, ten list kuzyna był kopalnią wszelkich możliwości.

Przed wszystkim pewne było, że taki kuzyn, który może sobie pozwolić na kosztowną podróż w celu zobaczenia swych krewnych, musi być bogatym człowiekiem. Zresztą sam kuzyn napisał w tym liście: „Wcale nieźle mi się powodzi”.

— Co u nich jest „wcale nieźle”, to u nas nazywa się „bardzo dobrze” — mówił do córki Uszer.

Pchełka nie zamierzał bynajmniej prosić kuzyna o jakiś jednorazowy datek lub nawet o stałą zapomogę!

W głowie miał mnóstwo projektów zupełnie innego rodzaju.

Uda mu się na pewno namówić bogatego krewniaka, aby włożył kilka lub kilkanaście tysięcy dolarów w jakieś krajowe przedsiębiorstwo, którym zarządzać będzie on, Uszer Pchełka.

Albo też może ten kuzyn znajdzie lub też już posiada jakąś korzystną reprezentację, a jego mianuje agentem na Polskę. Albo też... roilo się po prostu w głowie Uszera od wszelkich pomysłów i projektów, które przedstawi swemu kuzynowi.

— Ten Uszer oczekuje swego kuzyna jak Mesjasza! — mówiono w miasteczku, lecz w gruncie rzeczy nie bardzo się dziwiono.

³kursa (daw.) — dziś popr. forma M. Im: kursy. [przypis edytorski]

Ludzie znali dobrze spryt i niepospolitą wymowę Uszera i mówili o nim:

— On potrafi przekonać człowieka, że słoma jest pszenica, a nawet że błoto jest złoto, więc on sobie już da radę z tym amerykańskim kuzynem.

Znaleźli się nawet pochlebcy, którzy zaczęli radzić Uszerowi, prosząc jednocześnie, aby o nich nie zapomnieli, gdyż „w tak olbrzymich przedsięwzięciach znajdzie się miejsce jeszcze dla jednego człowieka”.

Uszer Pchelka już sam zdążył uwierzyć w swoje przyszłe ogromne przedsięwzięcia i mówił do petentów, łaskawie wydymając wargi:

— Ja o tobie nie zapomnę... — I zapisywał coś w notesiku, niby dostojnik państwowy, poseł lub wielki finansista...

Dziwiło Uszera, że Mariem zachowuje się zupełnie spokojnie, niemal obojętnie i bez żadnej niecierpliwości oczekuje przyjazdu kuzyna.

— Dlaczego ty się nie cieszysz?! — zapytał.

A Mariem odpowiedziała:

— Przecież nam z sobą i tak jest dobrze. Brak nam tylko pieniędzy, lecz ja postanowiłam nauczyć się fotografii i retuszerii⁴. U nas nie ma ani jednego zakładu fotograficznego, więc...

— Niech Pan Bóg broni! — zawołał Uszer. — Ty nie będziesz potrzebowała pracować i znosić grymasów klientów! Ty będziesz żyła jak królowa, w domu swego męża, teraz, kiedy ja mam... to jest będę miał dla ciebie taki ogromny posag...

*

Nareszcie nastąpił ten dzień uroczysty — przyjechał kuzyn z Ameryki!

Wysoki, rosły, różowy i biały na twarzy, miał wielkie ciemne oczy, o powłóczystym jak kobiety spojrzeniu, drapieżne białe zęby, pąsowe wargi i bujną, lekko kędzierzawą czuprynę.

A jaki przy tym elegant. Posiadał mnóstwo pięknych garniturów, jedwabną bieliznę, piękne skórzane walizy i nawet — neseser toaletowy!

— W tym neseserze wszystko jest z kryształu i z prawdziwego srebra! — opowiadał córce i znajomym olśniony Uszer.

A kiedy Mariem oświadczyła ojcu, że ten kuzyn jej się „jakoś nie podoba”, Uszer po raz pierwszy w życiu rozgniewał się na córkę i nazwał ją „skończoną idiotką”.

Pierwszego dnia nie wypadało mówić o interesach. Kuzyn opowiadał o państwie Peru, w którym mieszka, o stołecznym mieście Limie, o swoim tamtejszym życiu i, co trochę dziwiło Uszera, o swoim u kobiet powodzeniu.

— Mnie się nie oprze żadna kobieta! — mówił. — Po pierwsze dlatego, że nie jestem brzydki, a po drugie, ona czuje, że ja dla ładnej kobiety niczego nie pożałuję...

— No tak... — potwierdził zakłopotany i niemal zawstydzony Uszer.

Nie przywykł on do tego rodzaju rozmów i dziwiło go, że poważny, bogaty Żyd mówi o takich głupstwach.

Kuzyn obejrzał dokładnie Mariem i zdecydował łaskawie:

— Twoja córka jest wcale niebrzydka. Ale ona nie jest umalowana, nawet nie upudrowana, źle się czesze i ubiera. Wygląda jak zakonnica.

— Ona nie myśli o takich rzeczach, bo ona jest skromna, uczciwa i rozumna dziewczyna! — odpowiedział trochę urażony Uszer.

— Skromnością i uczciwością daleko nie zajdziesz — oświadczył kuzyn. — Kobieta powinna być jak reklama — przyciągać ludzkie oczy i więcej obiecywać, niżeli dać może... A czy ten jej towar, który reklamuje, jest dobry czy zły, to już rzecz kupującego, by się nie dać oszukać...

Mariem w milczeniu, nie podnosząc oczu na wspaniałego kuzyna, wyszła z pokoju.

Następnego dnia przy wystawnym obiedzie, na który, nawiasem mówiąc, Uszer pożytył kilkanaście rubli od pisarza z tartaku, kuzyn zaczął pierwszy mówić o interesach.

— Ja tu, prawdę mówiąc, przyjechałem trochę dlatego, żeby zobaczyć się z krewnymi, ale głównie w interesach.

Uroda, Bogactwo

Kobieta

⁴retuszeria (daw.) — retuszerstwo, umiejętność retuszowania. [przypis edytorski]

Uszer, z bijącym mocno sercem, wpatrzony w kuzyna jak w tęczę, jął⁵ się przysłuchiwać jego słowom.

A kuzyn mówił, obgryzając skrzydełko kurczaka:

— Mój interes jest taki! U nas w Ameryce, zarówno północnej, jak i południowej, bardzo mało jest służących. A nieliczne, które tam istnieją, są bardzo wymagające. Oprócz bardzo wysokiej pensji każda musi mieć swój oddzielny pokój z łazienką.

— Z łazienką! — krzyknął zdziwiony Uszer. — Czy one zwariowały?!

— Amerykanie są bardzo bogaci i na wszystko się zgadzają, ale mimo to w Ameryce jest straszny brak kobiet, które by chciały służyć. Taki jest kraj. Więc ja z moim przyjacielem i współnikiem założyliśmy w New Yorku wielkie biuro stręczenia⁶ służby żeńskiej. Oprócz tego mamy kilka filii w innych miastach, na przykład w Montevideo, w Limie i w Buenos Aires, gdzie pracują nasi urzędnicy. Więc ja tu przyjechałem, aby zwerbować cały, że się tak wyrażę, „transport służących”. I często będę przyjeżdżał w tym celu. A ciebie, Uszerze, jako krewniaka, któremu chcę dać dobrze zarobić, mianuję głównym swym agentem na miasteczko i okolice, a nawet, jeśli się okażesz zdolny, na całą Polskę. Ty na tym interesie możesz dobrze zarobić, bo my ci będziemy płacili za każdą zwerbowaną przez ciebie służącą po pięćdziesiąt dolarów. Musisz oczywiście starać się o młode dziewczyny, bo stara baba nie umie dobrze pracować, a przy tym trudno się przyzwyczaja do nowych warunków życia.

Uszer, zdziwiony trochę, milczał, a kuzyn mówił dalej:

— To jest dobry i czysty interes. Widzisz, tu jest prospekt mego biura, drukowany w żargonie⁷, abyś go mógł pokazywać tym dziewczętom i ich rodzinom, żeby im dowieść, że to jest porządny i solidny interes.

Długo jeszcze Uszer z kuzynem rozmawiali o tym interesie i już następnego dnia wzięli się do roboty, to jest do werbowania owych służących.

Odwiedzali z kolei wszystkie biedniejsze domy, gdzie były dorosłe córki.

Dziewczynom opowiadał ów kuzyn, jak im będzie dobrze w tej Ameryce, gdzie będą stale nosiły jedwabne pończochy, bo innych tam nie ma, i jedwabną bieliznę, która w Ameryce jest tańsza od płóciennej.

A przy tym, co ważniejsze, tam każda panna łatwo znajdzie męża, nie tylko bez żadnego posagu, lecz ten mąż obowiązany jest sprawić elegancką wyprawę. Dlaczego? Dla tej prostej przyczyny, że kobiet jest tam mniej niżeli mężczyzn, a przecież mężczyzna bez kobiety obejść się nie może i w gospodarstwie, i z różnych innych przyczyn, nad którymi zbyt obszernie rozwodzić się nie należy.

Rodzicom zaś obiecywał z góry wypłacić sześciomiesięczną pensję córki, to jest — cały majątek.

A kiedy bardziej przezorni, czy też lękliwi rodzice wyrażali nieśmiało pewne wątpliwości, wówczas ów kuzyn, Kaima Pinski, wymieniał im nazwisko i adres pewnego rabina w Nowym Jorku i proponował zwrócić się do tego rabina o informację co do jego osoby.

A oprócz tego powoływał się na swego tutaj obecnego kuzyna Uszera Pchełkę, który nie chciałby przecież pośredniczyć w jakimś nieczystym interesie.

Pchełka potwierdzał i namawiał, a ludzie mówili sobie:

— Tak, Uszer Pchełka nigdy nie faktorował w podejrzanych sprawach, więc jemu można wierzyć.

Miesiąc cały bawił Kaima Pinski w naszym miasteczku i przez ten czas nie tylko że zwerbował przy pomocy Uszera Pchełki kilkanaście młodych dziewczyn na służące w Ameryce, ale nawet zdążył się ożenić ze śliczną córką piekarza Feigla.

Feigel był dosyć zamożnym człowiekiem i nie tylko nie był zmuszony wysłać swej córki jako służącej w daleki świat, ale mógł jej dać jaki taki posag i znaleźć dla niej w naszym miasteczku uczciwego chłopca.

⁵jąć (daw.) — zacząć; zabrać się za coś. [przypis edytorski]

⁶stręczyć (daw.) — podsuwać komuś kupno czegoś, zatrudnienie kogoś itp.; tu mowa o biurze pośrednictwa pracy, w którym można wynająć służące. [przypis edytorski]

⁷żargon — tu: język jidysz, używany przez Żydów w Europie Środkowej i Wschodniej, powstały ok. X wieku w pld. Niemczech na bazie jednego z dialektów niemieckich z dodatkiem elementów hebrajskich, słowiańskich i romańskich. [przypis edytorski]

Ale Różia Feiglówna zakochała się na śmierć i życie w pięknym kuzynie z Ameryki i oświadczyła rodzicom, że „albo ten, albo żaden”. Cóż mieli robić, biedacy? Ustąpili, postawivszy tylko jeden warunek: ślub odbędzie się u nas, w miasteczku, a nie w Ameryce, jak chciał tego Kaima Pinski.

Naręczony zgodził się wreszcie na ten warunek i Feiglowie wyprawili swej córce bogate wesele.

Posagu nie dali, bo naręczony jakoś wcale się o to nie upominał, co świadczyło jednocześnie o jego majątku i o jego prawdziwej dla Rózi miłości.

Po weselu Kaima Pinski wyjechał z żoną, z Uszerem Pchełką i ze zwerbowanymi na służące dziewczętami do Warszawy w celu uzyskania niezbędnych do podróży paszportów.

Trochę tam mieli trudności w urzędzie emigracyjnym, ale w końcu wszystko się jakoś pomyślnie załatwiło: Kaima wyjechał z żoną i dziewczętami do Antwerpii, gdzie mieli wsiąść na okręt, a Uszer Pchełka, z grubo wypchanym pugilaresem⁸, wrócił do naszego miasteczka.

Z triumfem oświadczył córce, że zarobił przeszło tysiąc dolarów, które kuzyn sumieniem mu wypłacił gotówką.

— To jest dopiero początek twojego posagu — mówił. — Ja będę stale pracował dla Pinski, a on będzie corocznie przyjeżdżał do Polski i ja będę stale zarabiał taką samą, a może większą sumę. Trochę będziemy wydawać na utrzymanie, a reszta to twój posag, który musi dojść do trzech... albo lepiej — do pięciu tysięcy dolarów!

— Jakoś mi się nie podoba ten kuzyn — powiedziała Mariem — wolałabym, żebyś ty, ojczu, nie miał z nim nic do czynienia.

— Dlaczego?! — zapytał Uszer. — Nie można tak słów na wiatr rzucać. Powiedz wyraźnie, dlaczego on ci się nie podoba?

Ale mówiąc tak, nie patrzył na córkę i jak gdyby sposepniał.

— Ja sama nie wiem... Ja przecież nic nie wiem o życiu...

Istotnie, cóż mogła wiedzieć o sprawach życiowych osiemnastoletnia dziewczyna z małego, zapadłego miasteczka?

Ona umiała się tylko czegoś lękać i coś przeczuwać.

Pewnego dnia przyszedł do Mariem list z Ameryki. List ten wręczono jej w nieobecności ojca, który rozjeżdżał teraz stale po okolicy, pracując w nowym interesie, to jest w Amerykańskim Biurze Stręczenia Służby Żeńskiej.

Mariem otworzyła ten list i uśmiechnęła się zadowolona.

— To jest przecież list od Rózi Feiglówny — stwierdziła radośnie.

Mariem Pchełka i Różia Feiglówna na „arystokratycznej” pensji pani Gancowej uważane były za przedstawicielki proletariatu, toteż trzymały się stale razem i w końcu stały się prawdziwymi przyjaciółkami.

Ze wzruszeniem otworzyła Mariem ten list, od dawna upragniony i oczekiwany. I przeczytała:

Dziwisz się pewnie, droga Mariem, że dotychczas nie pisałam. I nie pisałam zapewne nigdy, gdyby nie przypadek.

Piszę krótko i beładnie, bo ten pan czeka i uprzedził mnie, że nie ma wiele czasu...

Ten pan jest Polak i przyrzekł mi święcie, że mój list wyśle... Inaczej nie mogłabym wysłać listu, bo nas tutaj dobrze pilnują. W ogóle ja nawet nie wiem, dlaczego piszę do ciebie, bo przecież ja nie chcę wrócić do naszego domu i do miasteczka. Niepotrzebna tam jest taka jak ja — brudna, chora ścierka.

I najgorsze może jest to, że ja nawet nie chcę wracać, bo coś się we mnie tak odmieniło i zepsuło, że nudne i niemile byłoby dla mnie nasze dawne życie.

⁸pugilares (daw.) — portfel. [przypis edytorski]

Tak Mariem, do tego doszło, że ja bez wina, bez tańców, muzyki, światła i bez mężczyzn żyć teraz nie mogę, bo to wszystko daje zapomnienie.

Czy pamiętasz jakieśmy z tobą jeździły raz na karuzeli... Muzyka, huk, krzyk... wszystko się wokół nas kręciło i miałyśmy z tobą jednakowe wrażenie, że jak ta karuzela się zatrzyma, upadniemy z drewnianych koników — martwe na ziemię... Tak teraz jest ze mną...

Boże, po co ja właściwie te wszystkie głupstwa wypisuję... i po co ja właściwie... Ach tak... już wiem...

Widzisz, coś ludzkiego we mnie jednak zostało i ja chciałabym uchronić przed moim losem inne dziewczęta z naszego miasteczka i z całej Polski. Mariem, ten twój kuzyn sprzedaje dziewczęta do domów rozpusty, to jest tam, gdzie ja się obecnie znajduję.

I twój ojciec pomaga mu. Więc jeśli możesz, zabraniaj i przeszkadzaj. Mariem, ja jestem z tych wszystkich nieszczęśliwych najnieszczęśliwsza, bo ja kochałam tego człowieka, a on...

Ale nie mogę już dłużej pisać, bo ten gość (tu Rózia wykreśliła i napisała „ten pan”) się niecierpliwi, nie chce dłużej czekać. O mnie możesz zapomnieć, ale pamiętaj to, co ci napisałam: przeszkadzaj i ratuj. Rózia.

I przypisek:

Nie dziw się, Mariem, kiedy się dowiesz, że rodzice moi otrzymali list, w którym donoszą, że wszystko w porządku i że dobrze mi się powodzi. Ten list nie będzie nawet wymuszony groźbami i biciem! Ja sama nie chcę, ażeby się oni dowiedzieli, co się stało z ich dzieckiem i że... Ach dosyć, już dosyć...

W kilka godzin później wrócił do domu Uszer Pchelka i spojrzawszy na córkę, niemal krzyknął:

— Co tobie jest, Mariem?! Ty jesteś na pewno chora!

Zbliżył się do Mariem, aby dotknąć jej czoła i sprawdzić, czy nie ma gorączki, jak to czynił przez długie lata. Był przecież jednocześnie jej ojcem i matką i ona sama nazywała go z żartobliwą czułością „mamusią-kwoczka”.

Lecz teraz Mariem odsunęła się gwałtownie, jakby unikając tego dotknięcia.

— Co tobie jest, Mariem? — powtórzył stropiony Uszer.

I wtedy Mariem, patrząc mu prosto w oczy, zapytała:

— Czyś ty o tym wiedział, ojczu?

— O czym ja miałem wiedzieć? Ja nie rozumiem twego pytania — powiedział, przerażony.

A ona mówiła dalej:

— Ojczu, czyś ty o tym wiedział, że ty pośredniczysz w najgorszym na świecie handlu, że ty pomagasz zbrodniarzowi?

Uszer, śmiertelnie przerażony, milczał, a Mariem mówiła dalej, zimno i spokojnie:

— Dłaczego ja właściwie o to pytam? Przecież ty jesteś mądrym i doświadczonym człowiekiem. Mogłam ja głupia dziewczyna nie wiedzieć i nie rozumieć, ale ty na pewno wiedziałeś i rozumiałeś, z jakim człowiekiem pracujesz i w jaki to sposób zbierasz ten mój przeklęty posąg!

Uszer Pchelka trochę się już opanował i postanowił się bronić.

— Ja nie wiedziałem! Skąd ja prosty Żyd z małego miasteczka mogłem wiedzieć, że na świecie dzieją się takie rzeczy...

Mariem spojrzała badawczo na niego.

— Przysięgnij mi tedy⁹, że nie wiedziałeś i nawet nie domyślałeś się, w jakim to interesie pracujesz. Powiedz tak: „Przysięgam na Boga, że nie wiedziałem i nawet się nie domyślałem. A jeżeli fałszywie przysięgam, to skarż mnie Panie Boże: niech umrze dzisiejszej nocy jedyna moja córka, Mariem!”

⁹tedy (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

Wówczas wyrwał się Uszerowi Pchelce rozpaczliwy okrzyk:

— Mariem, to jest zbyt straszna przysięga!

— Więc przyznajesz, że wiedziałeś? — pytała zimno i nieubłagalnie jak sędzia śledczy.

Uszer osunął się na krzesło i zaczął szeptać szczerze swe wyznanie.

— Mariem, ja domyślałem się... ale ja nie chciałem wiedzieć. Ja odganiałem od siebie myśli, te myśli, które przychodziły do mnie ciemną nocą i spać mi nie dawały. Ja mówiłem samemu sobie: „To nie jest tak... to nie może być tak, tobie nie wolno robić takich strasznych przypuszczeń, bo inaczej ty nie będziesz mógł pracować dla szczęścia twojego dziecka”. Przebac mi, Mariem, przecież to dla ciebie... dlatego, że tak strasznie cię kocham! — błagał, daremnie wyciągając do niej rękę.

A Mariem po długiej chwili odpowiedziała:

— Ja cię, ojczy, nie osądzam, bo Bóg nad nami jedynym jest Sędzią. Ja głupia jestem i nawet nie rozumiem, jak się to wszystko stać mogło. Ale jedno ja wiem i rozumiem, że nie ma już między nami możliwości wspólnego szczęścia i nawet wspólnego życia. Ja stąd muszę odejść na zawsze, a przed rozstaniem o jedno tylko cię poproszę. Tymi przeklętymi pieniędzmi, któreś dla mnie zbierał, staraj się wyratować, wyciągnąć z tego piekła choć jedną zgubioną przez was dziewczynę.

— Dokąd ty pojedziesz, Mariem? — wyjęczał cicho Uszer.

— Ja jeszcze nic nie wiem... Zapewnie pojedę do większego miasta i zgodzę się za sklepową¹⁰ lub choćby za służącą.

I cicha łagodna Mariem po raz pierwszy może w życiu wybuchnęła:

— Ja podła, podła jestem, tchórzliwa! Wiem dobrze, gdzie ja powinnam pójść: na ulicę lub do takiego domu, jak one, te wszystkie zagubione przez was dziewczyny! To jedno byłoby prawdziwą pokutą i może wtedy Pan Bóg naprawdę by przebaczył. Ale ja słaba jestem i tchórzliwa i takiej rzeczy robić nie mogę, bo to jest ponad moje siły. Inną więc karę musimy wspólnie ponieść. Nie będziemy już nigdy w życiu ze sobą razem, bo rozłączyła nas na zawsze — ludzka krzywda.

Mariem Pchelka w dzień później wyjechała z naszego miasteczka.

Dzięki stosunkom i wpływowi akuszerki, panny Reginy Fejgin, dostała się w Warszawie do żydowskiego szpitala jako pielęgniarka i stale zamieszkała w tym szpitalu.

W jakiś czas potem wyjechał również z naszego miasteczka Uszer Pchelka.

Opowiadali później ludzie, że Uszer mieszka w Warszawie, zarabia od czasu do czasu jakieś grosze, lecz stale nie pracuje, bo całymi prawie dniami wystaje lub przechadza się koło żydowskiego szpitala.

Czasami udaje mu się podobno ujrzeć przelotnie swą córkę.

PAN GAWRON — WRÓG MIŁOŚCI

Pan Gawron mieszkał niby w naszym miasteczku, w małym odziedziczonym po rodzicach domku, lecz stale jeździł po okolicznych miastach i miasteczkach, gdyż pracował, jak sam się wyrażał, w „branży matrymonialnej”.

Ubiarał się z europejską, dawno już porzucił jarmułkę i kapotę, lecz ubranie miał zawsze mocno zniszczone, gdyż pan Gawron był przeraźliwie, wprost przysłowiowo skąpy.

Posiadał on, fakt rzadki w naszym miasteczku, karty wizytowe w niemieckim języku:

MOZES GAWRON
WELTSCHADCHEN¹¹

Pan Gawron był bowiem swatem, czyli pośrednikiem małżeńskim.

W naszym miasteczku wszystkie prawie małżeństwa w zamożniejszych domach skojarzone były przez pana Gawrona. Toteż mawiał on zwykle o sobie:

Swaty

¹⁰zgodzę się za sklepową (przest.) — przyjmę pracę sklepową, najmę się do pracy jako sklepowa. [przypis edytorski]

¹¹Weltschadchen (niem., z jid.) — szadchan (swat) światowy, w judaizmie człowiek kojarzący małżeństwa między osobami z bogatych i wykształconych rodzin, nierzadko z różnych miast (Welt: świat, schadchen: swat),

— Gdzie indziej dzieci przynosi na świat bocian, zaś w naszym miasteczku — Gawron! Zjawiał on się stale w domu moich dziadków, proponując różne „partie” dla najmłodszej mej ciotki, Rózi.

Miał jednak z nią kłopot nie lada, bo choć Rózia już miała dwadzieścia trzy lata i w naszym miasteczku uważana była niemal za starą pannę, uporczywie odrzucała wszystkich przez pana Gawrona proponowanych konkurentów.

Toczyły się między nimi osobliwe dialogi.

Pan Gawron mówił na przykład:

— Niech panna Rózia posłucha i podziękuje Gawronowi za narzeczonego, którego dla niej znalazł: młody Danciger, człowiek z wyższym wykształceniem, dentysta, dużo zarabia i bardzo przystojny mężczyzna. A w dodatku ma zupełnie polskie imię, nazywa się — Stanisław!

Ciocia Rózia marszczyła groźnie swoje wąskie, ciemne brwi i odpowiadała:

— Niech mi pan Gawron da raz na zawsze spokój! Już tyle razy mówiłam, że ja przez swatów za mąż nie wyjdę!

Pewnego razu, gdy Rózia znowu odrzuciła jakąś wyjątkową, wspaniałą „partię”, pan Gawron do reszty stracił cierpliwość i odezwał się w sposób następujący:

— Ja Rózi muszę raz na zawsze powiedzieć słowo prawdy! Jakie prawo ma panna Rózia być tak wybredna? Nie jest wprawdzie panna Rózia brzydka, lecz do ładnej też jej daleko, nie jest biedna, ale bogata także nie jest, bo dziesięć tysięcy rubli posagu, to nie jest znowu taki cymes¹². Nie jest Rózia zupełnie bez nauki, ale do wykształconych panien z Warszawy, które dzień i noc przesiadują na uniwersytecie, także się porównać nie może. Jednym słowem, co Rózia jest? Takie sobie „ni śmierdzi, ni pachnie”...

Gdyby Gawron powiedział Rózi, że jest biedna, brzydka i głupia, na pewno by jej tak nie uraził, jak tym swoim określeniem: „ni pachnie, ni śmierdzi”.

Zaczerwieniła się ze złości, lecz odpowiedziała na pozór spokojnie:

— Mnie zdanie pana Gawrona bardzo mało obchodzi. Jedno tylko wiem, że przez swatów za mąż nie wyjdę.

— No to jak panna Rózia wyjdzie za mąż? Narzeczony spadnie z nieba?!

— Zostanę starą panną albo... wyjdę za mąż z miłości.

Żaden najokrutniejszy byk na corridzie w Hiszpanii nie popadał chyba w taką wściekłość, widząc czerwoną chorągiew, jak pan Gawron, kiedy słyszał to słowo „miłość”.

— Miłość — krzyczał i tupał nogami pan Gawron — głupi wynalazek, przekłeta fanaberia młodego pokolenia! To jest rzecz dobra dla głupiej gojki¹³, a nie dla porządnej żydowskiej paniutki!

— Jeśli już pan koniecznie chce kogoś wyswatać w naszym domu, to bardzo proszę... Nasza kucharka Chana wciąż marzy o chuseniu¹⁴.

Niczym nie można było tak obrazić pana Gawrona, jak propozycją swatania kucharek, tragarzy, woźniców, drobnych przekupni i całej tej biedoty.

— Ja jestem Gawron, weltszadchen, i pracuję tylko w partiach powyżej pięciu tysięcy rubli, a takie tałałstwo ja zostawiam szamesowi¹⁵ Szmelce, on także musi żyć — odpowiedział, pogardliwie wydymając wargi.

A Rózia tymczasem, aby ostatecznie podrażnić pana Gawrona, zaczęła śpiewać jakąś starą piosenkę:

Bo miłość to cudowny kwiat,
Ogrodem dla niej cały świat,
Płonie purpurą, wonią tchnie!
Taką miłością kochaj mnie.

w odróżnieniu od *Ortschadchen*, swata lokalnego, działającego w środowiskach niższych warstw społecznych, z tej samej miejscowości lub okolic. [przypis edytorski]

¹²*cymes* (jid.) — słodka potrawa z ryżu lub makaronu i marchewki; przen.: rarytas, coś bardzo atrakcyjnego. [przypis edytorski]

¹³*gojka* — nie-Żydówka. [przypis edytorski]

¹⁴*chusen* — narzeczony. [przypis redakcyjny]

¹⁵*szames* (jid., z hebr.) — woźny, posługacz w bożnicy lub gminie żydowskiej; także: osobisty pomocnik rabina. [przypis edytorski]

Swaty

Miłość, Małżeństwo

Swaty

Pan Gawron splunął z obrzydzeniem, jak gdyby usłyszał jakieś plugawe słowa.
— Różia potrzebuje się wstydić! Ja nawet słuchać nie chcę takich nieprzyzwoitości!
— I wyszedł, trzaskając drzwiami, bo pan Gawron nie krępował się nigdy i u nikogo.

Serce ludzkie, jak wszyscy o tym wiedzą, pełne jest dziwacznych sprzeczności. Pan Gawron posiadał pewną, dziwną u takiego jak on człowieka, namiętność: lubił, po prostu kochał muzykę, sam sobie tego dokładnie nie uświadamiając.

Jego namiętność do muzyki była tak wielka, że spotkano go kiedyś przed kościołem, zasłuchanego w grę organów. Stał tak podobno pół godziny, a nawet, jak niektórzy twierdzą, wszedł do kruchty kościelnej, co dla nabożnego Żyda jest wprost grzechem.

Mimo swego niesłuchanego wprost skąpstwa kupił sobie pierwszy bodaj w naszym miasteczku gramofon i przynajmniej cztery razy do roku pod pozorem jakichś nieistniejących „interesów”, które ograniczały się do zakupienia pewnej ilości nowych płyt operowych, jeździł do Warszawy na koncerty. Po powrocie zaś z każdej takiej eskapady pan Gawron był dziwnie nieswój i wzburzony i nieodmiennie składał wizytę — właśnie mojej ciotce Rózi.

Widocznie odczuwał potrzebę podzielenia się z kimś swoimi wrażeniami, a ciotka Różia lubiła również muzykę i grała nawet wcale¹⁶ dobrze na fortepianie.

— Powiadam, pannie Rózi — powiedział pewnego razu, podczas jednej z takich wizyt, pan Gawron — słyszałem w tej Warszawie koncert, że palce lizać. Tam był szczególnie jeden kawałek...

I pan Gawron począł nucić motyw, posiadał bowiem doskonały słuch.

Ciotka Różia roześmiała się.

— A czy pan Gawron wie, jak się nazywa ta muzyka?

— Co mnie obchodzi nazwa? Niech ona się nazywa, jak chce. Ja wiem tylko, że mnie się podoba i koniec. Ja bym wolał codziennie słyszeć taką muzykę, niżeli... niżeli wygrać na loterii.

— Ta muzyka to jest *Tristan i Izolda*¹⁷, najpiękniejsza w świecie apoteoza miłości.

Pan Gawron, usłyszawszy to nienawistne słowo „miłość”, już się zachmurzył.

— Co to jest apoteoza? — zapytał.

— No, jakby to panu wytłumaczyć?... To jest taka najwyższa pochwała i zachwyt. Zachwyt nad miłością i pochwała miłości! — powtórzyła przekornie Różia. — A pan Gawron wciąż powtarza, że miłość jest szkodliwa i nawet wprost nieprzyzwoita.

I wówczas pan Gawron wygłosił swój zdumiewający aforyzm.

— W książkach i w muzyce to ona jest może potrzebna, ale w partiach to ona jest niepotrzebna, a nawet szkodliwa!

A po chwili dodał:

— Zresztą ona sobie może w ostateczności przyjść po ślubie... Kto jej broni?

— Jak pan Gawron może mówić takie bezceństwa! — wybuchnęła Różia.

— Daj spokój, Róziu — łagodziła babka — przecież żaden człowiek nie może lubić swego konkurenta, który mu chleb odbiera, a w tym waszym młodym pokoleniu miłość to najniebezpieczniejsza konkurentka pana Gawrona.

Do Gawrona zaś babka mówiła:

— Niech pan się na nią nie gniewa. Ona jest młoda, ona się jeszcze zmieni...

Stało się jednak inaczej: Różia się nie zmieniła, zmienił się natomiast pan Gawron. Sprawdziło się na nim przysłowie, że kto z czym wojuje, od tego ginie.

Nasz chasen¹⁸, Abram Pomidor, miał naprawdę piękny głos. Wszyscy Żydzi w miasteczku byli z niego dumni i twierdzili, że chasen w największej synagodze w Warszawie nie ma takiego, jak Pomidor, głosu.

Otóż do tego chasena Pomidora przyjechała z Łodzi jego siostra, rozwódka, pani Ida Goldbergowa. Widocznie talent muzyczny był w tej rodzinie dziedziczny, bo pani Ida

Muzyka, Żyd

Muzyka

Miłość, Muzyka, Książka,
Małżeństwo

¹⁶wcale (daw.) — całkiem. [przypis edytorski]

¹⁷*Tristan i Izolda* — opera Richarda Wagnera z roku 1859, dramat muzyczny na podstawie średniowiecznej legendy o tragicznej miłości rycerza Tristana i księżniczki Izoldy Jasnowłosej. [przypis edytorski]

¹⁸chasen — główny śpiewak w synagodze, inaczej kantor. [przypis redakcyjny]

śpiewała bardzo ładnie, miała miły mezzosopran i umiała wiele pieśni, a nawet arii ze starych oper: *Toski*, *Traviaty*, *Fausta* i *Żydówki*¹⁹.

Pani Ida nie odznaczała się bynajmniej wielką urodą. Przez gruby pokład pudru, niby słońce przez zimowe niebo, gęsto przeświecały piegi, a niewielkie oczy miały wyraźnego zeza.

Nie była również pierwszej młodości, chociaż o jakieś dziesięć lub piętnaście lat młodszą od starego wdowca, pana Gawrona.

Ubierała się pani Ida „biednie i elegancko”. Suknie były z lichego materiału, nieświeżnie uszyte, ale z wielką pretensją do ostatniej mody. Posiadały one tę szczególną właściwość, że wyglądały jednocześnie jak stare i nowe, a pochodziło to najprawdopodobniej z tego, że pani Ida przerabiała nieustannie, według ostatniej mody, stare swoje lachy.

Naszyjników z różnokolorowego szkła, łańcuszków, bransoletek i tym podobnych tanich świecidełek miała pani Ida tak wiele, że nazywałyśmy ją z siostrą — afrykańską kacykową.

Pan Gawron od dawnych czasów był przyjacielem chasena. Złączyło ich wspólne zamiłowanie do gry w szachy.

Mogli oni grać przez cały wieczór, przy czym chasen śpiewał pięknym swym głosem na różne melodie: „Zabieram tego pionka... mat daję wieży... Królowa niedługo zginie...”, co się bardzo podobało Gawronowi.

U tego chasena, na swoją zgubę, pan Gawron poznał panią Idę.

Pan Gawron był człowiekiem zamożnym, gdyż nie tylko pobierał dość poważne honoraria za kojarzenie małżeństw, lecz umiejętnie operował tymi pieniędzmi, a na siebie wydawał bardzo mało.

Pani Ida w majątku posiadała tylko swoje świecidełka i lachy i, jak mówiono, dość burzliwą przeszłość. Nic więc dziwnego, że upatrzyła sobie na męża zamożnego i niezbyt jeszcze starego pana Gawrona.

Te jej plany spełzyły na pewno na niczym, gdyby nie posiadała w swoim arsenale tak niebezpiecznego dla Gawrona oręża — pięknego głosu.

Biedny Gawron przez kilka wieczorów słuchał owych arii z *Fausta*, *Traviaty* i *Żydówki*, a wkrótce potem rozeszła się w miasteczku wiadomość, że pan Gawron żeni się z panią Idą.

Wiadomość ta wydawała się zrazu nieprawdopodobna. Taki stateczny, zamożny człowiek i taka płocha zalotnica!

A jednak po kilku tygodniach pan Gawron z panią Idą wyjechali do Łodzi, skąd wrócili jako małżonkowie.

Wówczas zaczęły się w miasteczku dzieć dziwne rzeczy. Dom pana Gawrona gruntownie odświeżono, z Łodzi przyszły nowe wspaniałe meble i przyjęto służącą.

Pewnego dnia przed dom pana Gawrona zajeżdżał wóz ciężarowy, z którego ludzie wynieśli nowiuteńkie pianino.

Pan Gawron płakał i... płacił.

Wszystko to byłoby jednak do wybaczenia, gdyby pani Ida była dobrą żoną i gospodynią, jak inne kobiety z naszego miasteczka. Lecz pani Ida okazała się kobietą niegospodarną, marnotrawną i co najgorsze — płochą i zalotną.

Widywano ją w podmiejskim lesie w towarzystwie Leosia od fryzjera i — o zgrozo! — w towarzystwie chrześcijanina, telegrafisty, pana Boczkowskiego.

Pani Ida tak święcie wierzyła w to, że jest przystojną i elegancką kobietą, że wiara ta udzieliła się widocznie niewybrednym zresztą małomiasteczkowym donżuanom²⁰.

W naszym miasteczku nie brakło plotkarzy i plotkarek, ale mimo to nikt nie odważył się poinformować pana Gawrona, jak to w czasie jego ciągłych podróży zachowywała się pani Gawronowa.

Strój

Swaty, Pieniądz

Śpiew, Małżeństwo

Żona, Zdrada

¹⁹*Toski*, *Traviaty*, *Fausta* i *Żydówki* — *Tosca*: opera Pucciniego z 1900, *Traviata*: opera Verdiego z 1853, *Faust*: opera Antoniego Henryka Radziwiła z librettem Goethego z 1835 lub opera Charles'a Gounoda do libretta Jules'a Barbiera i Michela Carrégo z 1859, *Żydówka*: opera Jacques'a Fromental Halévy z 1835. [przypis edytorski]

²⁰*donżuan* — uwodziciel, bałamut; od imienia legendarnego uwodziciela, XVI-wiecznego szlachcica hiszpańskiego, bohatera wielu dzieł literackich i muzycznych. [przypis edytorski]

Ta bezkarność tak ją rozzuchwalała, że zaczęła podczas nieobecności męża przyjmować wielbicieli w swoim własnym domu.

Lecz oto pewnego dnia wypędzona przez panią Idę „za pyskowanie” służąca wykrzyzczała nieszczęsnemu Gawronowi całą prawdę. Przedstawiła przy tym jako dowód jakiś znaleziony czy też ukradziony list wielbiciela.

Pan Gawron dostał ataku żółciowych kamieni, a gdy wyzdrowiał, nie wychodził wcale z domu, bo wstyd mu było pokazać się ludziom na oczy.

W końcu jednak nie wytrzymał, przyszedł do mego dziadka i zaczął się gorzko użalać.

— Rujnuje mnie, dobrego słowa nie daje, nigdy nie zaśpiewa, kiedy ja o to poproszę, a ja milczę, cierpię i wszystko znoszę... Ale ten wstyd... to zgorzenie i grzech, o którym się teraz dowiaduję, tego już ścierpieć nie mogę i nawet mi nie wolno!

I pan Gawron zapłakał.

— No, cóż — wyrzekł po namyśle mój dziadek — gdyby tutaj szło tylko o marnotrawienie pieniędzy i o jej przykry charakter, powiedziałbym: „Cierp pan, może Pan Bóg da, że się poprawi”. Ale tamte rzeczy... to jest już świństwo, którego żaden porządny człowiek tolerować nie powinien.

— Więc co ja mam zrobić?! Co ja mam z nią począć?!

— No cóż, panie Gawron, u nas, Żydów, o rozwód wystarać się nie jest, dzięki Bogu, bardzo trudno...

Pan Gawron pobladł.

— Rozwieść się?! Ja się mam z nią rozwieść?! — zajączał.

— No, a co innego panu pozostaje? — zapytał dziadek.

Pan Gawron podniósł się w milczeniu i wyciągnął rękę na pożegnanie.

— Więc cóż? — zapytał dziadek.

— Ano... nic... — odpowiedział pan Gawron.

Ale kiedy podszedł już do drzwi, zatrzymał się i dodał cicho:

— Rozwieść się, powiadasz pan... Dlaczego lepiej pan nie powie od razu do mnie: „Gawronie, wykop sobie swoimi własnymi rękami grób”?

I wyszedł.

Tak to na panu Gawronie, swoim zaciętym wrogu, zemściła się — MIŁOŚĆ.

ESTERKA ZE ŻGOWA

Kiedy kobiety z naszego miasteczka chciały się trochę uśmieć, zagadywały Esterkę.

— Opowiedz nam, jak tam jest w tym twoim Żgowie.

I wówczas Esterka, jak im się wydawało, zaczynała pleść niestworzone rzeczy.

— U nas pod Żgowem płynie rzeka, taka śliczna rzeka, że ładniejszej nie ma chyba na świecie. Woda tak wesoło pluszcze po kamieniach, jakby się ciągle śmiała. A nad tą rzeką pełno jest kwiatów i tataraku. Takiego tataraku jak u nas, nie ma nigdzie. Ogromny, jasnozielony, a korzenie ma bladoróżowe jak korale. Na tym tataraku można wygrywać różne melodie, jak na harmonijce. Ja na Zielone Świątki²¹ szłam z dużym koszem nad tę rzekę po tatarak, a potem roznosiłam po domach.

— A ile ci płacili za to ziele?

Esterka ze zdziwienia szeroko otwiera oczy.

— Płacili? Dlaczego mieli płacić? Przecież tatarak Pan Bóg posiał nad rzeką, aby na Zielone Świątki u wszystkich ludzi było ładnie i wesoło, więc ja tak, z dobrego serca, roznosiłam po domach ten tatarak.

— Też hrabina! — mówiła drwiąco Chaja Rybiarka, a Esterka, niezrażona bynajmniej tą uwagą, opowiadała dalej:

— Myśmy z tatuńciem chodzili z towarem po okolicznych wsiach, bo tatuńcio miał cały swój sklep na plecach. Ach, tam były takie śliczne rzeczy!

— A cóż twój „tatuńcio” nosił na plecach? Złoto, srebro, brylanty, perły?

Esterka nigdy nie poznawała się na kpinach i odpowiadała poważnie:

Natura

Handel

²¹Zielone Świątki — tu: Szawuot, żydowski Święto Tygodni, podczas którego bożnice i domy są przystrajane zielenią, kwiatami i gałązkami; obchodzone w pięćdziesiątym dniu po święcie Pesach (Paschy). [przypis edytorski]

— Nie, tego wszystkiego on nie sprzedawał. On miał wstążki, różowe, żółte, niebieskie, jak te kwiaty w polu, paciorki, co się tak lśniły i migotały jak małe światełka, książki z pięknymi kolorowymi obrazkami i nawet perfumy, które pachniały jak prawdziwe kwiaty. Raz się taka flaszeczka trochę nadtlukła i tatuńcio mi ją dał. Powiadają, pachniała jak prawdziwy jaśmin!

— A co to jest jaśmin?

Kobiety z naszego miasteczka nie hodowały i prawie nie znały kwiatów.

Jeśli kiedyś przypadkiem mówiły o nich, to każdy kwiat nazywały „róża”.

Na przykład Chaja Rybiarka, stawiając na oknie lak²² i pelargonie, przyniesione przez córeczkę ze szkoły, mówiła:

— Chciałam wyrzucić te dwie róże, ale Ryfcia nie daje, bo pani kazała hodować to paskustwo...

— Jak można nie wiedzieć, co to jest jaśmin! — dziwiła się Esterka.

— No, ja dzięki Bogu żyję czterdzieści lat na świecie i karmię ze swej pracy troje dzieci, chociaż nie wiem, co to jest ten twój jaśmin... — odpowiadała Chaja.

— Bo tutaj u was nie ma jaśminu — wdychała Esterka — a mnie za nim tak tęskno...

— A za dzieckiem ci nie tęskno? — pytały urągliwie sąsiadki.

— Za dzieckiem także mi tęskno — odpowiadała poważnie Esterka — ale ja jeszcze wciąż myślę, że będę miała dziecko.

— No, a kto ci zrobi to dziecko? Chyba nie twój niedojda Chaim. On ma pojęcie o takiej robocie jak... ja o tym twoim jaśminie... — mówiła Chaja.

A Esterka odpowiadała z niezmaconą powagą i słodyczą:

— Dziecko Pan Bóg mi przyśle.

Kobiety wybuchały śmiechem, stwierdzając po raz niezliczony głupotę Esterki. Postanowiono bowiem nieodwołalnie, że Esterka jest najgłupszą kobietą w miasteczku. A Chaja Rybiarka mówiła wręcz, że Esterka ma głowę jak... wstyd nawet powtarzać takie ordynarne porównanie!

Kwiaty

Esterka zjawiła się pewnego dnia u krawca Pinkusa zupełnie niespodzianie. „Spadła z deszczem”, jak mówiła, wdychając, pani Pinkusowa.

Weszła do sklepu, pocałowała w ręce oboje Pinkusów i powiedziała spokojnie i poważnie:

— To ja, Esterka ze Żgowa. Tatuńcio zmarł i przed samą śmiercią rozkazał, abym pojechała do wuja Pinkusa. Mój nowy kuferek jest przed sklepem, taki śliczny zielony kuferek, a tu jest mój posag.

I podała wujowi Pinkusowi swój, pozał się Boże, posag, dwieście rubli, otrzymanych ze sprzedaży gratów i towaru „tatuńcia”. Sprzedają zajęli się dobrzy ludzie, bo Esterka, jak sama oświadczyła, nie ma dobrej głowy do interesów.

Cóż mieli zrobić Pinkusowie? Musieli przyjąć sierotę, bo i przed ludźmi byłby wstyd i sumienie człowiek także ma, więc jakżeż inaczej?

Wezwali na trzeci dzień szamesa, drugiego, po panu Gawronie, w naszym miasteczku swata i polecili mu wystarać się o narzeczonego dla Esterki.

— Narzeczonego ja już mam — odpowiedział Szames — syn Kujalnika, pisarza przy tartaku Chaim. On jest dla niej akurat, jak na miarę!

— Ech, taki szlemil²³! — zaoponowała nieśmiało Pinkusowa.

— Szlemil?! — zapienił się szames. — A ona co?! Córka wędrownego kramarza? I ten posag... dwieście rubli... to tak samo, jakby nic nie miała.

— No, zawsze ładna z niej dziewczyna.

— Gdzie to jest napisane, że Żydówka powinna być ładna? Ona powinna być albo bogata, albo mądra, żeby umiała czymś handlować i coś zarobić! Ale wasza Esterka ze Żgowa to istne cielę! Na twarzy ma napisane, że cielę!

Sierota

Swaty

²²lak (bot.) — rodzaj roślin z rodziny kapustowatych; typowym gatunkiem jest lak wonny (*Cheiranthus cheiri*), o zebranych w grona, drobnych kwiatach, intensywnie pachnących, żółtych, czerwonych lub pomarańczowych. [przypis edytorski]

²³szlemil — niedołęga. [przypis redakcyjny]

— Za mądra ona nie jest... — przyznała z westchnieniem Pinkusowa.
— No, więc widzicie. Pisarz bierze synową do siebie, będą u niego mieszkali i jedli i on nauczy syna, żeby był po nim pisarzem.
— Niczego on tego osła nie nauczy... — mruknął Pinkus.
— No, ale pieniądze pisarz ma, bo obławia się w tartaku i na właścicielu, i na kupujących.

Urządzono dla formy „kik”²⁴.

Pisarz przyszedł tedy ze swoim synem Chaimem do Pinkusów w sobotę po południu na herbatę.

Konkurent pił w milczeniu herbatę, przegryzając ciastem, a pisarz gadał jak najęty za siebie i za syna.

— Mój syn nie jest taki ślamazara, jak się wydaje — mówił — jest tylko nieśmiały, ale on ma swój rozum.

I zaczął opowiadać różne historie, świadczące o nadzwyczajnym, choć ukrytym sprycie jego syna.

Podczas gdy pisarz gadał, konkurent ani razu nie spojrzął na Esterkę, natomiast patrzył tak uporczywie na czekoladową babkę, stojącą pośrodku stołu, jak gdyby właśnie z tą babką miał zamiar wstąpić w związek małżeński.

Pisarz szelma wytargował u Pinkusa dodatkowe 50 rubli i złoty zegarek zamiast srebrnego dla narzeczonego, po czym odeszli.

Po tej wizycie, również dla formy, zapytano Esterkę, jak jej się podoba konkurent, a ona odpowiedziała:

— Nie bardzo mi się podoba, bo taki jakiś wilgotny i miękki...

— Czyś ty go macała, że wiesz, że on jest wilgotny i miękki?! — krzyknęła pani Pinkusowa.

— Nie... ale ja to czuję — odrzekła Esterka, ale zaraz potem dodała: — To nie szkodzi, że on mi się nie podoba... Ja się może do niego przyzwyczaję i ja przecież wujciowi i cici nie mogę całe życie siedzieć na karku.

— Dobre z ciebie dziecko — wyrzekł pan Pinkus — i ja ci za to na mój własny koszt wyprawię bogate wesele.

Na tym właśnie, istotnie wystawnym, weselu zaszła pewna awantura, o której z oburzeniem opowiadano w miasteczku.

Sąsiadka Pinkusów, szewcowa, pani Rudzka, podczas uczyty weselnej wetknęła głowę przez otwarte okno i krzyknęła:

— Tylko u was Żydów parchów²⁵, może się wydarzyć takie świństwo, żeby taką łanię wydawać za obskurnego miękisza!

Wszyscy byli oburzeni, że ta ordynarna gojka miesza się do cudzych spraw i przyznali słusność Pinkusowi, że wydał siostrzenicę za młodego człowieka z dobrej rodziny, który będzie miał po ojcu pieniądze.

Rok po roku upływał, a Esterka wciąż tęskniła za Żgowem i więcej jeszcze za dzieckiem, którego Pan Bóg jakoś nie chciał jej przysłać.

Aż wreszcie stało się tak, że znalazła swe dziecko — w tataraku...

Co rok przed Zielonymi Świątkami Esterka wybierała się po tatarak nad maleńką rzeczkę Utratę, która przepływała o jakąś wiorstę²⁶ od naszego miasteczka. Wychodziła z samego rana i wracała pod wieczór z ogromnym koszem tataraku. Rozdzielała później ten tatarak pomiędzy sąsiadki, opowiadając przy tym zaśmiewającym się z jej głupoty kobietom różne cuda i dziwy. Opowiadała im, jak ślicznie jest teraz w lesie i jak spotkała w tym boru²⁷ tabor cygański i jedna Cyganka za dwadzieścia groszy przepowiedziała Esterce, że będzie jeździła złotą karetą.

²⁴kik — spotkanie się młodych. [przypis redakcyjny]

²⁵parch — strup na skórze wywołany chorobą grzybiczą; tu: daw. pogardliwe określenie osoby narodowości żydowskiej. [przypis edytorski]

²⁶wiorsta — dawna rosyjska jednostka długości, nieco ponad kilometr. [przypis edytorski]

²⁷w boru — dziś popr. forma Ms. lp.: w borze. [przypis edytorski]

— Jak to! — dziwiły się sąsiadki. — Czy na świecie może być w ogóle złota karetą?...
— Jest, na pewno jest, ja w tych książeczkach, co je tatuńcio po wsiach sprzedawał, na własne oczy widziałam, jak królowna jedzie do ślubu złotą karetą...
— Tak, to jest dowód tak niezbity, że sam rabin z Góry Kalwarii²⁸ nie potrafiłby wymyśleć lepszego dowodu... — odpowiadała z powagą Chaja Rybiarka i wszystkie kobiety tak się śmiały, że, jak później twierdziły, brzuch je bolał od tego śmiechu.

Poszła więc Esterka ze Żgowa owego pamiętnego, czwartego po swym ślubie roku nad rzeczkę Utratę po tatarak, bo następnego dnia były Zielone Świątki.

Jakżeż to przyjemnie w taki śliczny wiosenny dzień zrywać nad rzeką tatarak!

I nie trzeba od razu zabierać się do roboty, bo ma się przed sobą cały dzień Boży, którego każda godzina żyje, pachnie i przynosi nową radość i niespodziankę. Najprzód można dokładnie rozejrzeć się wokół, nacieszyć się i nabrać dużo radości na długie dnię powszednie w szarym, smutnym miasteczku.

Z przyrzecznych łęgów uśmiechają się przyjaźnie do Esterki kwiaty mnogie i rozliczne.

Złote, strojne dziewanny kiwają godnie głowami niby łączne gospodynie.

Błękitno-czerwone kąkole przebłyskiwają przez trawę jak małe płomyki, a drobno-biała kaszka chwieje się nieustannie w lekkim wietrze.

— Ciekawa rzecz, czy taką kaszkę można ugotować i zjeść z mlekiem? — myśli Esterka.

Najwięcej jest nenufarów, bo te łąki przyrzeczne i mokradła to przecież ich własne królestwo.

I te ptaki, raz po raz nad rzeką przelatujące, i te ryby wychylające ciekawie z wody swe łebki — dokąd one tak lecą lub płyną? Może w okolice Żgowa, a może dalej, w świat nieznanym, daleki?

Nacieszywszy tak swoje oczy, można się potem wykąpać w rzece, pofigłować rozkosznie z sobą samą i z wodą. Potokiem słonecznych promieni rozedrgana jest rzeka. Promienie te dziwnie misternie splatają się ze sobą w sieć świetlistą, ruchomą, która zdaje się płasnąć po powierzchni wody.

Już nie ma Esterki ze Żgowa — zamieniła się w rybę.

Płynąc, rozpruwa raz po raz świetlistą sieć promieni i cieszy się z tej psoty.

Pluszcze zawzięcie rękami i nogami i patrzy, jak bryzgi wody wystrzelają w górę, mieniając się wspaniale w słońcu.

Esterka nie myśli o niczym, nawet zapomniała, że przyszła tutaj po tatarak. Nie dość ma wody, nie jest jeszcze zupełnie rybą, bo ryba musi siedzieć z głową w wodzie... ot tak... daje więc nurka, woda wchodzi jej w usta... więc zmuszona jest wychylić głowę i wypłuć tę wodę. Podpływa bliżej brzegu, tam, gdzie jest tak płytko, że można na wznak położyć się na piasku i odpocząć. Lecz już po chwili biegnie znowu na środek rzeki, rękami rozbryzguje wokół siebie przepyszny krąg, a sama pośród tego kręgu jest biała i różowa jak kwiat przysłonięty srebrnym welonem deszczu.

I taką właśnie dostrzeżę ją Jan Michcik, syn starego rybaka Michcika, co przyszedł tu ryby łowić, w zastępstwie ojca.

Młody Michcik nie namyśla się długo. Myślenie w ogóle nie należy do jego ulubionych zajęć. Szybko zdziewa ze siebie koszulę oraz płócienne porcięta i wchodzi do wody. Podpływa do Esterki i zniemacka otacza ją silnym swym ramieniem.

— Moja ty dziewczuszko miła, mój ty kwiatuśzku — mówi wesoło.

Esterka jest więcej zawstydzona niż przerażona. W naiwności swojej nie domyśla się prawie, jakie jej grozi niebezpieczeństwo.

— Ja jestem zameżna i ja jestem Żydówka! — mówi, myśląc, że w taki sposób odstraszy napastnika.

Ale młody Michcik, w tej przynajmniej dziedzinie, nie ma rasowych przesądów.

Rzeka

Kochanek

²⁸rabin z Góry Kalwarii — jeden z Wielkich Rabinów należących dynastii chasydzkiej z Góry Kalwarii (jid. Ger), w woj. mazowieckim, od poł. XIX w. jednego z ważniejszych w Polsce centrów chasydyzmu. [przypis edytorski]

— Dla mnie, jak kobieta jest ładna, to niech ona sobie będzie Żydówka, albo nawet Cyganka, a ja ją i tak będę lubić! — odpowiada, pokazując w uśmiechu wszystkie trzydzieści sześć zdrowych białych zębów.

Na to już Esterka nie wie, co odpowiedzieć.

— Niech pan stąd odejdzie — prosi — bo ja muszę wyjść z wody.

— Możesz wyjść, nie będę patrzył, nawet zamknę oczy — ustępuje wspaniałomyślnie Michcik, który już zdążył od stóp do głowy ją obejrzeć.

Esterka wybiega z wody, kładzie szybko czystą, przyniesioną z domu koszulę i sięga po swoją sukienkę z różowego perkaliku, ale Michcik jest już przy niej.

— Po co ci te szmaty w taki gorąc, poleż sobie lepiej w koszulce...

— Kiedy, proszę pana, ja się tak wstydzę...

— Możesz mi mówić po imieniu. Ja nazywam się Jan Michcik, a dla ładnych, jak ty, kobiet — Jasio. A tobie jak na imię?

— Esterka.

— Dosyć ładne imię, chociaż żydowskie — mówi Michcik. — Przysuń się do mnie, Esterko, albo lepiej ja się do ciebie przysunę, bo muszę ci coś powiedzieć na ucho...

Jan Michcik znany jest z tego między kolegami, że nikt tak ładnie jak on nie umie przemawiać do kobiet.

— Mój ty kwiatuśku pachnący — szepce do ucha Esterce — włosy masz takie złociutkie jak słońce, a nie czarne i kudłate, jak inne Żydówki. I na ciele jesteś udana, jak ta łania. Strasznie mi się podobasz, Esterko!

Esterka otwiera szeroko oczy cieszy się i dziwi.

Dziwi się, że jest ładna, bo dotychczas mówiono tylko o jej głupocie, zaś o urodzie, nie wyłączając męża Chaima, nikt słowem jednym nie wspomniał, i cieszy się, że tak ładnie i delikatnie do niej przemawiają.

Esterka ogromnie lubi, żeby na świecie wszystko było „ładne” i „delikatne”.

Michcik przyciąga ją jeszcze bliżej i całuje w usta.

Jakie on ma śliczne białe zęby i czerwone wargi, a ręce suche i gorące, podczas gdy ręce Chaima są zimne i śliskie jak gady.

— Ja nie mogę tak leżeć, ja muszę na święta narwać tataraku — próbuje niezdarnie się bronić.

Ale Michcik śmieje się wesoło:

— Także mi racja! Ja ci w mig narwę tataraku i do miasta nawet poniosę — mówi, pocałunkiem pieczętując obietnicę.

Esterka przywykła do niezdarnych, marnych i bezpłodnych usiłowań męża, niezupełnie sobie zdaje sprawę z tego, co się z nią dzieje.

W pewnej chwili przebiega jej myśl:

— To pewnie tak trzeba, żeby urodziło się dziecko!

I gorąca radość ogarnia jej serce.

Żaden plusk nie mąci wody, żaden głos nie przebija ciszy, tylko wielki szary ptak o niskim locie zatrzymuje się na chwilę i rozpina nad głowami kochanków opiekuńcze skrzydła.

Rumiana zorza zawisła już nad rzeką Utratą, kiedy Michcik i Esterka zabrali się do rwania tataraku.

Ach, jak to przyjemnie zrywać we dwoje tatarak, jak ślicznie Jasio potrafi wygrywać na tataraku niby na cudownym żywym instrumencie Bożym!

A kiedy kosz był już pełny, Michcik dorzucił jeszcze dużego, kilkofuntowego²⁹ szczupaka.

— Masz dla męża i dla siebie na święta — rzekł wesoło, ale bynajmniej nie kpiąco.

A Esterka odpowiedziała poważnie i z wdzięcznością:

— Dziękuję ci, Jasiu, za dobre serce.

— Ja tutaj jestem na urlopie i jutro muszę wracać, więc się tak prędko nie zobaczymy. Bądź zdrowa, Esterko!

²⁹funt — dawna jednostka wagi, równa 0,4–0,5 kg. [przypis edytorski]

— Bądź zdrow, Jasiu — odpowiedziała.
I tak się rozstali.

Gdyby Esterka była trochę sprytniejsza, z łatwością mogłaby ukryć przed ludźmi, czyje właściwie będzie rodzic dziecko.

Mąż Chaim tak mało był oszukany z tymi sprawami, że swoje ślimacze, jałowe zabiegi uważał za właściwy akt miłosny. A że różne inne ślamazary co rok obdarzały żonę potomstwem, więc i ludzie w miasteczku uwierzyliby, że po tylu latach małżeństwa Chaim zdobył się jednak na dziecko.

Ale Esterka sama siebie wydała i zgubiła.

Na przyszłym macierzyństwie Esterki pierwsza poznała się Chaja Rybiarka.

Popatrzyła uważnie na Esterkę i powiedziała:

— No, niech będzie na szczęście! Mądrości to on nie będzie miał po kim odziedziczyć, ten dzieciak, ale niech on chociaż z twarzy będzie podobny do ciebie, a nie do Chaima.

I wówczas wyrwał się Esterce mimowolny okrzyk:

— Broń Boże! Moje dziecko będzie podobne do Jasia!

— Do jakiego znowu Jasia?! — zapytała zdumiona Chaja.

Esterka spostrzegła się jednak, że powiedziała zbyt wiele, więc próbowała się wykręcać, ale, jak to ona, naiwnie i niezdarne.

— Ja nie wiem... ja tak sobie powiedziałam... dla żartu...

Chaja Rybiarka była jednak stokroć sprytniejsza od Esterki, wzięła ją więc w obroty, że aż miło, i po kwadransie wiedziała już całą prawdę.

Chaja Rybiarka była dziwnie tolerancyjną, jak na Żydówkę z małego miasteczka, niewiastą; dość powiedzieć, że do „paskudnych kobiet” z domu pod lampionami odnosiła się życzliwie i nawet z pewnym szacunkiem.

Gdyby więc Esterka wyznała jej swoją tajemnicę, płacząc, utrzymując, że padła ofiarą gwałtu i prosząc o zachowanie sekretu, Chaja, choć pierwsza w mieście plotkarka, ulitowałaby się zapewne nad nią.

Ale w słowach Esterki nie było śladu skruchy i upokorzenia. Przeciwnie, jak gdyby dumna była i cieszyła się z tego, że ojcem jej dziecka będzie ten polski chłopak, miły i silny, o oczach błękitnych jak te modraki³⁰ w polu rosnące.

„Ona się nawet nie wstydzi! Co za dużo, to niezdrowo!” — pomyślała Chaja i dała pełną folgę³¹ swojemu plotkarskiemu językowi.

Nie upłynęło tygodnia, a już całe miasteczko wiedziało, czyje to dziecko ma w brzuchu Esterka.

Już nawet łobuzy na ulicy wołały za nią: „Pani Michcikowa”.

Albo też: „Poszła po tatarak, a znalazła bękarta”.

Jak to się zwykle dzieje, krewni dowiedzieli się ostatni, i to zupełnie przypadkowo.

Jakiś Żydek pokłócił się z teściem Esterki, że inne drzewo kupił niż to, które mu dostarczono z tartaku.

— Szwarcerjur (czarny rok) na ciebie! — krzyknął rozgniewany pisarz.

A ten Żydek mu na to:

— Niech ten czarny rok spadnie raczej na tego bękarta, co go twoja synowa z Michcikiem nad rzeką złowiła!

Esterka, wzięta na spytki, wyznała oczywiście całą prawdę. Zaczęły więc radzić kobiety, teściowa, ciotka Pinkusowa i Chaja Rybiarka, jako osoba, która pierwsza odkryła tajemnicę.

Chaim jest posłuszny syn, on zrobi, jak mu każą rodzice. Albo on weźmie rozwód, albo przebaczy przez wzgląd, że to jednak musiał być gwałt, dokonany przez tego chuligana na osobie głupiej Esterki. To się już później postanowi, ale na razie trzeba przede wszystkim przeskodzić, by „takie dziecko” przyszło na świat boży.

³⁰modrak (reg.) — chaber, bławatek. [przypis edytorski]

³¹dać folgę swojemu językowi (daw.) — nie powstrzymywać się, nie pohamowywać się w mówieniu czegoś. [przypis edytorski]

Poszły najprzód po poradę do pana Lewkowicza, ale tak uprzejmy zwykle i dobrze wychowany pan Lewkowicz zwymyślał je ostatnimi słowami.

— Ja jestem starszy felczer, prawie doktor! Moja robota jest ludzi ratować, a nie zabijać! Won mi stąd, widzmy, suki jedne!

Zawstydzone i upokorzone kobiety nie dały jednak za wygraną.

Jeśli pan Lewkowicz nie chce dać żadnego lekarstwa, to się obejdzie bez niego.

W nędznej ruderze, obok starej cegielni, mieszkała przecież dotąd Chawa Piszczyk, samozwańcza akuszerka i pielęgniarka. Chawy Piszczyk nie wzywano już do porodów, bo nawet drobne przekupki, żony rzemieślników i tragarzy, poznały się w końcu, że nazbyt już jest niechlujna i przy tym na wpół oślepla ze starości.

Żyła więc z tajemniczych, zakazanych praktyk i cudem nie dostała się dotąd w ręce policji.

Kobiety wiedziały o tym, ale *coż* robić? Nie można przecież w takim wypadku zwrócić się do dyplomowanej akuszerki, panny Reginy Fejgin, bo ona ma jeszcze większe muchy w nosie niż pan Lewkowicz.

Postanowiły więc sprowadzić do Esterki Chawę Piszczyk.

Z głupią Esterką poszło bardzo łatwo: po prostu wmówiły w nią baby, że dla zdrowia swojego i swego dziecka powinna się poddać oględzinom starej a doświadczonej akuszerki.

Esterka zgodziła się bez namysłu.

Czego by ona nie zrobiła dla tego maleństwa, które kochała już całym sercem! Ucałowała nawet ręce teściowej i ciotki Pinkusowej, dziękując im „za opiekę i dobre serce”.

Wprowadzono tedy Chawę Piszczyk do alkierza³², gdzie przedtem ułożono na betach³³ Esterkę.

Piszczykowa kazała kobietom odejść, dobrze zamknąć drzwi i popatrzeć, co się dzieje na ulicy, czy się też tam ktoś niepotrzebny nie kręci.

Kobiety posłuszne wyszły, a że im jednak zrobiło się jakoś nieswojo, wypiły sobie po kieliszku szabasówki.

Po długiej chwili doszedł je z alkierza zrazu pisk i jęk, a później dziki ryk mordowanego zwierzęcia.

Miesiąc przeleżała Esterka na czerwonych betach w ciemnym alkierzu.

Kiedy teściowa albo ciotka namawiały ją, aby wstała i poszła się przejść, bo już na dworze „całe lato”, odpowiadała szeptem:

— Dajcie mi leżeć i myśleć...

— Co ona tam takiego może myśleć?... — mówiły zdziwione, a teść dodawał z uśmiechem:

— Tyle ona wymyśli, ile kot napłacze!

A jednak wymyśliła i postanowiła.

Pewnego dnia, kiedy teściowie z Chaimem jedli obiad w kuchni, drzwi otworzyły się cicho i na progu stanęła Esterka.

Dawno jej już nie widzieli inaczej, jak w ciemnym alkierzu, przy skąpym oświetleniu świecy, więc teraz dopiero dostrzegli, jaka w niej zaszła zmiana.

Esterka bardzo zeszczuplała i jak gdyby urosła. Gładkie jej czoło przecięte było teraz wyraźną pionową zmarszczką. Wydawać się mogło, że ta zmarszczka jest jakby granicą pomiędzy jej poprzednim a obecnym życiem. Oczy jej miały teraz wyraz rozumny i surowy, a stały, dobroduszny uśmiech uleciał bez śladu z jej przybladłych warg.

Oparła się o framugę okna i powiedziała bez wstępu:

— Już wszystko obmyśliłam i postanowiłam.

— No, *coż* ty takiego mądrego obmyśliłaś i postanowiłaś, Esterko? — próbował żartować teść, choć w gruncie rzeczy był niespokojny i zakłopotany.

A Esterka, nie zwracając uwagi na tę przerwę, mówiła dalej:

³²alkierz — osobna izba w rogu budynku; w domach mieszkalnych używana często jako sypialnia. [przypis edytorski]

³³bety (lm, pot.) — pościel; dziś zwykle: wymięta i brudna. [przypis edytorski]

— Ja nie chcę uciekać z tego domu jak złodziejka, więc wam powiem całą prawdę. Ja wracam do Żgowa, będę tam mieszkała sama, będę chodziła po okolicznych wsiach i sprzedawała różne rzeczy jak mój tatuńcio. Mnie tam ludzie pewnie jeszcze pamiętają. Pieniądze na towar i drogę już mam. W nocy, jak wy spaliście, wzięłam dwieście rubli z kantorka, gdzie leżą pieniądze za drzewo. Miałam prawo, bo to nawet nie cały mój posag. Reszta niech wam będzie na zdrowie. Złote kolczyki i pierścionek, coście mi dali jako ślubny prezent, znajdziecie w tym kantorku. Mój zielony kuferek już zapakowałam, zaraz po niego przyjdzie Szmul tragarz, bo jeszcze teraz nie udźwignę.

Oczy jej na chwilę złagodniały, gdy zbliżyła się do Chaima i powiedziała:

— Żegnaj, Chaimie, to nie twoja i nie moja wina, że takie, a nie inne było nasze życie!

Zdziwieni i przerażeni teściowie nie wiedzieli, czy powinni ją zatrzymać.

Z jednej strony, zadowoleni byli, że im taki wstyd zejdzie z oczu, z drugiej strony, która inna dziewczyna, oprócz głupiej Esterki, zgodzi się wyjść za mąż za ich syna? No i jakoś im było żal Esterki... zawsze przecież — sierota...

— Jak ty sobie sama jedna dasz radę na świecie — zaczęła ubolewać, na wpół dla formy, na poły szczerze, teściowa.

Esterka zmierzyła ją tym swoim nowym, rozumnym i surowym spojrzeniem.

— O mnie się nie kłopotcie! Ta głupia Esterka już nie żyje. Ona umarła razem ze swoim zamordowanym przez was dzieckiem. A ta druga, ta nowa Esterka, da sobie radę na świecie. Nauczycieście ją wy, ludzie, rozumu.

Rzuciła im na pożegnanie te słowa, jak ciężkie brukowe kamienie i wyszła, zamykając drzwi tego domu — po raz ostatni.

MENDEL KANCIATY

Mendel Kanciaty, nie bacząc na swoją obszerną klientelę w miasteczku, okolicznych dworach i letniskach, miał wciąż ten sam mały kramik, w którym nie mogły się zmieścić od razu cztery osoby. Mógłby bardzo łatwo powiększyć swój sklep, tym bardziej, że posiadał obok domu wolny skrawek ziemi, po którym przechadzała się stale koza pani Mendlowej.

Ale Mendel nie chciał niczego zmieniać; i tak działo mu się dobrze, więc po co te wszystkie nowości?

Mendel Kanciaty był znany jako najuczciwszy w całym miasteczku kupiec.

Kiedy pewnego razu pani Mendłowa usiłowała sprzedać klientce jakiś lichej materiał na suknię, wmawiając w nią, że jest to towar „pierwszej klasy”, łagodny zwykle Mendel poczerwieniał z gniewu, wyrwał materiał z rąk żony i powiedział:

— To jest lichej, zleżały materiał! Leży tu jeszcze od czasu, kiedy nieboszczyk teść okazjnie go kupił. Chce pani, mogę sprzedać za byle co, ale radzę wziąć porządniejszy towar.

Było to w pierwszym roku ich małżeństwa, bo później Mendłowa zrozumiała dobrze, że mąż nie dopuści żadnego oszukaństwa i *nolens volens*³⁴ przeobraziła się w przyzwoitą, solidną kupcową. I właśnie tej swojej uczciwości Mendel zawdzięczał dużą klientelę, bo inaczej ktoś chodziłby kupować do jego nędznego kramiku, kiedy w miasteczku było kilka porządných sklepów.

U Mendla było wszystkiego po trochu: towary łokciowe³⁵ sąsiadowały z produktami spożywczymi, naczyniami, norymberszczyzną³⁶ i papeterią.

Kiedy jakaś gospodyni z braku czasu posyłała po zakupy małego pętaka, mówiła:

— Pamiętaj, nie chodź gdzie indziej, jak do Mendla, bo on nie oszuka dziecka!

Kobiety wiejskie po targu robiły wszystkie zakupy u Mendla, „bo uczciwszy jest ten żyd niż niejeden katolik” — mówiły z uznaniem.

Poznały się też na nim panie letniczki i stąd powstało główne źródło jego dochodów.

Mendel jednokonną furmanką rozwoził towar po okolicznych dworach i letniskach i przyjmował nowe zamówienia, zapisując je w swoim nieodstępnym notesiku.

³⁴*nolens volens* (łac.) — chcąc, nie chcąc. [przypis edytorski]

³⁵*towary łokciowe* (przestarz.) — tkaniny, wstążki itp. sprzedawane w sklepiku na łokcie, tj. odwijane z beli i przycinane do długości pożądaney przez klienta. [przypis edytorski]

³⁶*norymberszczyzna* (daw.) — towary norymberskie, tj. drobna galanteria, zabawki i inne drobne przedmioty domowego użytku, wytwarzane dawniej w Norymberdze. [przypis edytorski]

Panie nie odważały nigdy po raz drugi kawy, herbaty, kaszy i cukru, dostarczanego im przez Mendla, bo raz na zawsze było ustalone, że „Mendel nie oszuka ani na wadze, ani na gatunku lub cenie”.

Pani Mendlowa długo była bezdietna, co u Żydów uważane jest nie tylko za nie-szczęście, ale wprost za grzech i wstyd.

Daremnie jeździła kilkakrotnie do cadyka³⁷ z Góry Kalwarii.

Świątobliwy ten mąż z całą stanowczością obiecywał jej potomstwo, wracała więc z tych pielgrzymek wielce pokrzepiona na duchu, lecz po pewnym czasie znów zaczynała rozpaczać.

I oto po dziesięciu latach, ku wielkiej radości Kanciatych i nie mniejszej chwale Cudotwórcy, pani Mendlowa urodziła dużego, zdrowego i ładnego chłopca.

Odtąd Mendlowa nie widziała świata poza synem.

— Takiego drugiego delikatnego dziecka nie ma w miasteczku — mówiła Mendlowa. — To jest prawdziwy hrabia...

Sąsiadki zaś twierdziły:

— Takiego drugiego dziecka nie ma w całym miasteczku, to jest prawdziwy rozbójnik!

Białka, koza pani Mendlowej, wkrótce zdechła, za nią powędrował stary wierny pies Rukiet i kilka bezimiennych kotów, a wszystko to stało się za sprawą małego Dawidka.

Kiedy Dawidek skończył pięć lat, przyszedł po niego belfer Szlama, ażeby zgodnie z tradycją zabrać go do chederu³⁸.

Dawidek nie płakał i nie czepiał się matczynej spódnicy, jak to w podobnych okolicznościach czyniły inne żydowskie bachorki.

W milczeniu ugryzł Szlamę aż do krwi w rękę, tak że nieszczęsny belferzyna wypuścił z rąk swoją nieodstępną dyscyplinę³⁹.

Kiedy Szlama, oprzytomniawszy, chciał się znowu zabrać do Dawidka i przede wszystkim ukarać go jak należy, pani Mendlowa zasłoniła syna swoją obszerną osobą i powiedziała:

— Idźcie z Bogiem, Szlama, mój Dawidek jest zbyt delikatne dziecko, by chodził do chederu... Ja jemu najem domowego nauczyciela.

Wówczas głupkowaty Szlama wypowiedział jedyne w swym życiu mądre i ważne słowa:

— Ten chłopiec nie zostanie nigdy ani dobrym Żydem, ani porządnym człowiekiem! — I popędzając przed sobą, niby gąsienią, gromadkę chłopców, poszedł z nimi do chederu.

Pani Mendlowa znalazła istotnie dla swego syna nauczyciela, ubogiego „szywebuchera”⁴⁰, który za obiady i kilka rubli miesięcznie miał go nauczyć wszystkiego, co nabożny Żyd umieć powinien, i przygotować do barmycwy⁴¹.

W kilka lat później znalazła mu drugiego nauczyciela, starszka emeryta, pana Więćkiewicza, mającego go przygotować do gimnazjum w Piotrkowie.

Pani Mendlowa postanowiła bowiem wykierować swego syna na doktora.

Dawidek był leniwy i krnąbrny, lecz tak niesłuchanie zdolny, że nauka niejako wbrew jego woli sama do głowy mu trafiała i po kilku latach zdał do trzeciej klasy gimnazjum w Piotrkowie.

Radość i duma Mendłów nie miały granic.

Niestety, na owym pamiętnym fakcie skończyła się kariera naukowa Dawidka.

W kilka miesięcy po tym, wypędzony sromotnie z trzeciej klasy za złe sprawowanie się, powrócił do domu.

Wówczas pani Mendlowa wezwała na naradę felczera pana Lewkowicza.

Pan Lewkowicz, którego przez uszanowanie tytułowano stale starszym felczere,

Matka, Dziecko

Żyd, Lekarz

³⁷ *cadyk* — rabin cudotwórca. [przypis redakcyjny]

³⁸ *cheder* — elementarna żydowska szkoła religijna, w której chłopcy od piątego roku życia uczyli się modlitw i Biblii. [przypis edytorski]

³⁹ *dyscyplina* — przyrząd (kilka rzemieni umocowanych do rękojeści) służący do wymierzania kar cielesnych. [przypis edytorski]

⁴⁰ *szywebucher* — uczeń wyższej szkoły religijnej. [przypis redakcyjny]

⁴¹ *barmycwa*, popr. *bar micwa* — uroczystość odprawiana, gdy chłopiec żydowski osiąga w trzynastym roku życia pełnoletność religijną. [przypis edytorski]

choć żaden młodszy felczer nie istniał w miasteczku, był typem dawnego Żyda-asymilatora i gorącego polskiego patrioty.

Nazywał siebie „Polakiem mojżeszowego wyznania”.

W gabinecie swoim miał duży portret Elizy Orzeszkowej i wskazując na ten portret, mówił zawsze z trochę zabawną, lecz szczerą emfazą:

— To ona, czcigodna pani Eliza, zrobiła ze mnie człowieka! Jej książka *Meir Ezofowicz* odkryła przede mną nowe światy.

Pan Lewkowicz miał dużą klientelę nie tylko w naszym miasteczku, lecz i w okolicznych dworach.

Sam wrzeszczewicki dziedzic mówił o nim: „Gdyby nasz Lewkowicz skończył uniwersytet, byłby z niego drugi Chałubiński lub Baranowski⁴²”.

Na szczęście pan Lewkowicz był człowiekiem nie tylko uczciwym, lecz i rozsądnym, więc powodzenie i pochwały nie przewróciły mu w głowie i w poważniejszych wypadkach, kiedy rozumiał, że wiedza jego jest niedostateczna, sam kierował pacjentów do miejscowego lekarza.

Tęgo właśnie pana Lewkowicza wezwała pani Kanciata, by poradzić się, co dalej począć z synem, który według niej był oczywiście niewinną ofiarą podłości profesorów i kolegów.

Pan Lewkowicz wysłuchał uważnie, w milczeniu wypił kilka szklanek herbaty z malinowym sokiem i namyśliwszy się, powiedział:

— Trudno, doktorem już nie zostanie, ale coś niecoś jednak umie, więc trzeba się postarać, by uczył się prywatnie i zdał egzamin z sześciu klas i wstąpił do szkoły dentystrycznej.

Wysłano więc Dawidka do Warszawy i umieszczono u krewnych na Gęsiej. Ci krewni mieli dopilnować, aby, jak mówiła pani Mendlowa, Dawidek „poszedł po drodze naukowej”.

Upływały lata, a Dawidek nie pojawiał się jakoś w naszym miasteczku.

Na każde święto pani Mendlowa sprzątała gruntownie, gotowała, smażyła i piekła i za każdym razem spędzała we łzach owe dni świąteczne, bo Dawidek w ostatniej chwili znajdował jakąś wymówkę.

Do sąsiadek i klientek, aby uratować jakoś sytuację, pani Mendlowa mówiła:

— Mój syn nie ma czasu, on przygotowuje się do egzaminu, więc musi dzień i noc pracować... Na kursa dentystryczne trudniej jest się dostać jak do uniwersytetu.

Widocznie trudności te były nie do pokonania, bo w dwudziestym trzecim roku życia Dawidek jeszcze nie wstąpił do owej szkoły, natomiast pobyt jego w Warszawie kosztował Kanciaty chyba więcej niż ukończenie uniwersytetu w Cambridge.

I musiał Kanciaty te wszystkie pieniądze wyciągać ze swego sklepu i nieustannego trzęsienia się na naładowanym towarem wózku.

Toteż nic dziwnego, że mimo lichego odżywiania się i ubożego trybu życia, Kanciaty nie miał za co wyrestaurować domu, który powoli zamieniał się w rudere.

Aż oto pewnego dnia Dawidek zjawił się niespodziewanie w miasteczku. Przyjechał pożegnać się z rodzicami, bo — po dwukrotnym odroczeniu — wzięli go do wojska i mieli wysłać do dalekiego pułku, aż gdzieś na Kresach. Przyjechał i od razu olśnił wszystkie żydowskie panienki.

Takiego eleganta nasze miasteczko jeszcze nigdy nie oglądało!

Buciory miał żółte, koloru kaczyczych łapek, garnitur również żółty, w tak olbrzymie kraty, że chyba żaden rodowity Anglik nie miał większych na swoim ubraniu, kapelusze szary, miękkie i leciutki jak ta mgła i wspaniałe krawaty, mieniące się wszystkimi kolorami tęczy. A pachniał sam jeden daleko silniej i piękniej niżeli cały zakład fryzjerski pana Gutwajna!

Trzeba było widzieć, z jaką dumą spacerowała pani Mendlowa w sobotę z synem. Panienki słały mu powłóczyście spojrzenia, ale gdzieżby tam taki stołeczny frant⁴³ zwrócił uwagę na małomiasteczkowe Żydóweczki.

Szedł sobie, gwizdał modne szlągery i wymachiwał laseczką, istny hrabia.

⁴²*Chałubiński lub Baranowski* — Tytus Chałubiński (1820–1889): wybitny lekarz i przyrodnik, znany jako „odkrywcą” Zakopanego; Ignacy Baranowski (1833–1919): lekarz, przyjaciel i asystent Tytusa Chałubińskiego, profesor Uniwersytetu Warszawskiego. [przypis edytorski]

⁴³*frant* — osoba rozmiłowana w eleganckich strojach i hulającym życiu; birbant, hulaka. [przypis edytorski]

Matka, Syn marnotrawny

Moda

A potrafił ten Dawidek tak z góry traktować ludzi, że nawet poważniejsi kupcy i sam starszy felczer nie śmieli go się pytać o egzaminy i o szkołę dentystyczną.

Dawidek przebył w miasteczku trzy dni piękny, wyniosły i niemal niedostępny; po czym znowu zniknął.

Zaczęły przychodzić listy do Kanciatych z jakiegoś miasteczka na Kresach i po każdym liście widziano Kanciatego na poczcie, wysyłającego raz po raz przekaz pieniężny na imię syna.

W jakieś pół roku po wstąpieniu Dawida do wojska zjawił się u pana Lewkowicza Mendel Kanciaty.

Pan Lewkowicz zrazu myślał, że to zachorowała pani Kanciatowa, bo Kanciaty wizyt nie uznawał, a w interesie Żyd do Żyda w sobotę przecież nie przyjdzie.

— No, co jej znowu jest? — burknął. — Z tymi kobietami to człowiek nawet w sobotę spokoju... — spojrzął na Kanciatego i urwał.

Twarz miał Kanciaty obrzękłą, siną, błyskał, jak rubinami, czerwonymi od płaczu gałkami oczu. W ręku miał gruby kij, na którym się opierał, widocznie w popłochu zapomniał, iż w sobotę nie chodzi się z laską lub parasolem.

— Co panu jest? — zapytał zaniepokojony pan Lewkowicz. — Czy, broń Boże, żona...

— Tu nie o żonę chodzi i o jej choroby — przerwał Kanciaty — tu jest gorsza rzecz z moim sy... synem... oby on się nigdy nie urodził!

— Panie Kanciaty, takie słowa w ustach ojca to jest grzech i obraza boska! — zawołał pan Lewkowicz i spojrzął na portret Elizy Orzeszkowej, jak zawsze, gdy coś na niego wywarło silne wrażenie.

— Panie Lewkowicz, tu stała się ostatnia rzecz... ja mam żal do Pana Boga za to, że mi pozwolił doczekać takiej chwili.

— Niech się pan uspokoi... a potem mi pan opowie, o co idzie... Ja panu przede wszystkim dam laurowych kropel⁴⁴...

— Nie trzeba mi żadnych babskich leków... ja do pana nie po lekarstwo przychodzę, a po radę...

I wtedy pan Lewkowicz dowiedział się, że do Kanciatych przyszedł list... strasznie powiedzieć... z wojskowego więzienia.

List ten Kanciaty raz już przeczytał, a teraz wspólnie z panem Lewkowiczem zaczęli odczytywać po raz drugi.

I chociaż w tym liście Dawid wił się jak piskorz, kłamiwymi słowami jak brudnymi łachami osłaniał nagą prawdę, obrzydliwą czułościowością usiłował otumanic ojca, jasny i niezbity pozostał fakt, że Dawid okradł w koszarach drugiego żołnierza, później zaś, usiłując widocznie pozorami oburzenia ratować sytuację, pobił pełniącego swą służbę podoficera.

W końcu listu Dawid donosił, że dowódcą ich pułku jest pułkownik Lucjan Żegota, i zapytywał, czy to nie jest ten sam porucznik Żegota, o którym w dzieciństwie opowiadał mu ojciec. Więcej o tym pułkowniku nie pisał, obawiając się widocznie cenzury więziennej.

Mendel Kanciaty służył w swoim czasie w armii rosyjskiej. Bezpośrednim jego zwierzchnikiem był Polak, porucznik Lucjan Żegota. Pan porucznik tak sobie upodobał sprytnego, przystojnego i uczciwego żydowskiego chłopca, że – fakt bardzo rzadki — wziął go na ordynansa.

— Tak, to musi być ten sam Polak — przytwierdzał Mendel. — Nazywał się Lucjan Żegota i był porucznikiem, a teraz dosłużył się widocznie rangi pułkownika. Bardzo był dobry ten pan porucznik i zawsze mawiał: „Śmieją się ze mnie koledzy, że mam ordynansa żyda, a ja bym ciebie, Mendel, nie wymienił na żadnego chrześcijanina”.

Pan Lewkowicz namyślał się przez długą chwilę, a w końcu powiedział:

— Innej rady nie ma panie Kanciaty, jedź pan do tego pułkownika, padnij mu do nóg i proś o zmiłowanie nad synem. Kary mu nie darują, to trudno, ale może przez pamięć

⁴⁴kropelke laurowe — dawny środek uspokajający. [przypis edytorski]

na pańską uczciwą służbę i wspomnienia młodości pan pułkownik postara się wpłynąć na sędziów, by znaleźli okoliczności łagodzące, a może nawet on sam zasiadać będzie w tym sądzie wojskowym nad pańskim synem, a wtedy...

Lecz Mendel mu przerwał:

— Ja mam prosić za tego złodzieja?! Nigdy!

— Więc po jaką radę pan właściwie przychodzi? Przecież innej rady nie ma — odpowiedział pan Lewkowicz. — I zresztą obowiązkiem ojca jest ratować swoje, najgorsze choćby dziecko.

Mendel pochylił głowę i w milczeniu wyszedł z mieszkania pana Lewkowicza.

Wypędzony niemal z domu przez żonę, która mówiła, że będzie miał na sumieniu nie tylko los syna, ale i jej śmierć, bo ona się zabije, jeżeli Mendel nie będzie ratował dziecka, Kanciaty wyjechał do owego miasteczka na Kresach.

Kiedy po kilku dniach pan Lewkowicz dowiedział się, że Kanciaty wrócił, rzucił wszystkie swe zajęcia i pobiegł do niego.

Sklepik był zamknięty. W kuchni siedziała Kanciatka i obierała, a raczej zdawało jej się, że obiera kartofle.

— Gdzie mąż? — zapytał pan Lewkowicz.

— On dla mnie już nie jest mąż — odpowiedziała kobieta. — On nawet nie jest obcy człowiek, a mój najgorszy wróg, bo on jest kat mojego dziecka i niech Pan Bóg jego skarże za to!

— Czy pani zwariowała?! — krzyknął gniewnie pan Lewkowicz. — Pani jest żoną kobiety i to panią Pan Bóg może skarżyć za takie słowa!

A po chwili zapytał już spokojniej:

— Co on takiego zrobił?

— Niech pan idzie do pokoju, to pan sam się zapyta. On tam siedzi sam jeden jak pies, bo on zresztą gorszy jest od psa.

Pan Lewkowicz wszedł do sypialni, która łącznie z kuchnią stanowiła całe mieszkanie Kanciatych.

Kanciaty siedział przy oknie na starym, ceratą obitym fotelu i jak gdyby patrzył na ulicę, lecz spojrzenie jego było tępe i mętne jak dawno niemyte szyby tego okna.

Rezolutny zwykle pan Lewkowicz szepnął nieśmiało:

— Więc... więc pan wrócił...

— Ano, tak... jak pan widzi, wróciłem...

— I cóż? — zapytał cicho pan Lewkowicz.

— Ano... nic... — odpowiedział obojętnie Kanciaty.

Pan Lewkowicz trochę się zniecierpliwiał:

— Panie Kanciaty, przychodził pan do mnie po radę, to teraz odpowiedz mi jak człowiekowi i jak przyjacielowi.

— Co ja mam panu opowiedzieć? Nic nie zrobiłem i koniec.

— Więc ten pułkownik jest taki twardy i okrutny człowiek, że nic go wzruszyć nie zdołało?

— Kto panu powiedział, że on jest twardy i okrutny? On jest dobry i szlachetny człowiek, daj Boże, żeby więcej takich było na świecie.

— A jednak... nic dla pana zrobić nie chciał...

— Jak on mógł coś dla mnie zrobić, kiedy on nic nie wie?

— Jak to „on nic nie wie”? Przecież pan pojechał po to, by mu przypomnieć się i prosić za syna, więc on teraz wszystko wie.

Kanciaty milczał.

— A może pan nie był u niego? — zapytał stropiony pan Lewkowicz.

— Byłem, ale nic mu nie powiedziałem.

— Nic nie rozumiem — szepnął pan Lewkowicz.

— Nie rozumie pan i nigdy pan nie zrozumie, więc po co to całe gadanie — odburknął Kanciaty.

Urażony pan Lewkowicz chciał już wstać i odejść. Lecz nagle w duszy tego małowiatkowego felczera zakwitła jakaś mądra i dobra troska już nie o sprawy życiowe, lecz o tajemnicę cudzego serca...

— Ja rzeczywiście nic nie rozumiem — odpowiedział niemal pokornie. — Ale czuję, że z panem stało się coś dziwnego. Jeżeli pan może, niech pan podzieli się ze mną swymi myślami. Nieraz w taki sposób człowiekowi lżej się robi na sercu... Niech pan mówi do mnie jak do samego siebie... a jeśli potrzeba, to ja mogę później zapomnieć o tej rozmowie.

I wówczas Mendel Kanciaty zaczął opowiadać niemal gorączkowo i bezładnie:

— Przychodzę do niego... kazałem się zameldować: „dawny ordynans pana pułkownika, Mendel”. Od razu przyjął... obie ręce do mnie wyciągnął... na fotelu posadził, ordynansowi kazał przynieść wina i dwa kieliszki... Wypiliśmy... kieliszkiem się ze mną trącił, jak równy z równym. I powiada: „A toś mnie ucieszył, bracie, swymi odwiedzinami! Pamiętaj, jak się ze mnie koledzy śmieli, że mam za ordynansa Żyda? A ja później nigdy już nie miałem takiego wiernego uczciwego ordynansa! Przyjacielem mi byłeś, nie sługą”, powiada. I później on mówił... mój Boże, co on to mówił? Ach tak, wspominał różne głupstwa o jednej pannie Marii, dla której my kwiaty rwali w cudzym ogrodzie, i o swoim przyjacielu kapitanie, co tak pięknie grał na gitarze cygańskie pieśni, ale tyle pił, że ja go musiałem zawsze do domu odprowadzać, i różne takie głupie rzeczy przypominał, jak dziecko... bo ci goje, nawet mądrzy, jak mój pułkownik, są czasami jak dzieci... I już miałem mu do nóg się rzucić i wyznać, po co przyjechałem, a on nagle nalewa jeszcze po jednym kieliszku i mówi: „Wiesz Mendel, tobie zawdzięczam, że nie ma we mnie żadnej niechęci do Żydów... A kiedy mi ktoś coś złego o Żydach powie, zawsze odpowiadam: »Wszystkim ludziom życzę, żeby byli tak do gruntu uczciwi i prawi, jak mój dawny ordynans, Mendel Kanciaty«”. Jak on powiedział te słowa, to ja od razu zrozumiałem, że już koniec, że ja... nie powiem, po co przyjechałem. Wstaję, idę do drzwi, pułkownik mnie zatrzymuje: „Posiedź jeszcze trochę, bracie, opowiedz, jak ci się powodzi. Może mogę coś zrobić dla ciebie?”. A ja nic... słowa ze siebie wykrztusić nie mogę... Ukłoniłem się, rękę mi podał i — poszedłem... A teraz panie Lewkowicz, ja wciąż siedzę i myślę, co się ze mną stało i dlaczego nie mogłem mówić i głowa mi pęka od tego myślenia. Z początku to ja chciałem bronić się przed samym sobą i mówiłem sobie: „Dobrze zrobiłeś, on wierzy, że między Żydami są uczciwi ludzie i ty nie masz prawa zabijać w nim tej wiary...”. Ale to jest głupstwo... Bo on przecież jest mądry człowiek i powinien zrozumieć, że w każdym narodzie są uczciwi ludzie i są złodzieje.... Więc pewnie ja nic nie mówiłem przez ten wstyd, ten straszny wstyd, że mam syna złodzieja. A w takim razie, ja nie miałem prawa... trzeba było zabić w sobie ambicję... i ratować syna... I wtedy jakiś głos we mnie krzyczy: „Ten złodziej nie jest już twoim synem! To jest obcy człowiek”. A drugi głos zaraz odpowiada: „Ojciec nie ma prawa wyrzec się swego, choćby najgorszego dziecka, powinieneś być pomimo wszystko — ratować syna!”.

Ojciec

— Więc może jeszcze nie za późno? — zaczął niepewnie pan Lewkowicz.

— Nie, panie Lewkowicz, ja już sam nie wiem, czy ja dobrze, czy źle postępuję... W głowie mi się od tych wszystkich myśli mąci... Ale jedno wiem: że ja tego zrobić nie mogę! Choćby mnie do śmierci bili! Choćby ze mnie żywcem pasy darli! Ja nie mogę! Dlaczego? Ja nie wiem... A może... może na świecie jest takie święte prawo, że za każdą winę powinna być kara i pokuta, i moje sumienie krzyczy, że mnie nie wolno postępować wbrew temu prawu. I tak wciąż w kółko... Jeden człowiek we mnie krzyczy: „Idź, prosz, błagaj o zmiłowanie nad synem!”. A drugi odpowiada: „Nie mogę i nie chcę!”. I ten drugi jest silniejszy... Ja już sobie rady dać nie mogę z tymi myślami, jedno tylko na pewno wiem, że ze mną jest źle... że ja jestem skończony człowiek.

Pan Lewkowicz daremnie szukał w pocziwej swej głowinie jakiejś cytaty z dzieł ukochanej autorki, która by potrafiła coś objaśnić lub choćby pocieszyć...

Popatrzył bezradnie na Mendla, uściśnął jego rękę, westchnął i wyszedł.

Mendel Kanciaty postawił samemu sobie zupełnie trafną diagnozę, nazywając się skończonym człowiekiem.

W istocie wszystko dla niego zaginęło, zaprzepaściło się, czy odeszło daleko... daleko...

Obojętni mu się stali ludzie i wszelkie sprawy i zabiegi, dotychczasową treść jego życia stanowiące.

Coś tam w jego sklepiku żona jeszcze sprzedawała, ratując siebie i męża od głodowej śmierci i posyłając synowi do więzienia jakieś cudem zaoszczędzone grosze.

Lecz Mendel już nie jeździł po okolicznych dworach i letniskach, nie wchodził nawet do sklepu, by pomóc żonie.

Siedział wciąż w izdebce za sklepem, w starym obdartym fotelu i patrzył przez mętne szyby na ulicę, przez którą niby wielkie chińskie cienie przesuwali się obojętni i na zawsze niepotrzebni mu ludzie.

CHAJA RYBIARKA URZĄDZA POGROM

Dwojra Pierzarka powiedziała kiedyś do nas:

— Wy potraficie od razu osądzić człowieka: jeden jest dobry, porządny, nawet szlachetny, jednym słowem — anioł w ludzkiej postaci! Drugi zły, nieuczciwy, podły — istne wcielenie diabła. Tymczasem na tym świecie nie ma diabłów ani aniołów, a są tylko ludzie.

Bo weźcie na przykład Rachmila, pisarza z tartaku: właściciela okrada i ludzi, co drzewo kupują — zdawałoby się, skończony złodziej i podlec. A z drugiej strony zapytajcie się rabina, kto najwięcej w miasteczku daje na dobroczynne cele, kto biedaka z domu z pustymi rękami nie wypuści? Ten sam Rachmil, w którym, zdawałoby się, nic dobrego nie ma.

Albo Chaja Rybiarka: ordynarna kobieta, kłótniwa i pierwsza w miasteczku plotkarka, jednym słowem — na pozór istna czarownica. A spróbujcie poprosić ją o jakąś przysługę. Na koniec świata dla was poleci, chociaż nogi ma opuchłe od ciągłego biegania.

A znowu weźcie dobrych ludzi, na przykład starszego felczera, pana Lewkowicza: porządny i uczciwy człowiek i delikatny, prawda? Ale czy on nie ma siebie za coś lepszego od wszystkich ludzi w miasteczku? Czy się nie chwali, że go często biorą za prawdziwego Polaka i do gojów się przybliżuje, że aż wstyd — po prostu siedzenia im liże! Więc krótko mówiąc, każdy człowiek ma w sobie coś złego, co mu trzeba przebaczyć, i coś dobrego, co trzeba w nim uszanować.

— No, a Ajzyk Pijawka, co on w sobie ma dobrego? — zapytała drwiąco nasza kucharka Chana. — Może mi Dwojra wyliczy jego zalety. Bardzo jestem ciekawa je poznać.

Dwojra milczała przez chwilę:

— Tak, on... naprawdę... — wyrzekła zakłopotana. — O nim ja nawet nie śmiem z Panem Bogiem rozmawiać, bo to już stracona dla Boga i ludzi dusza.

Ajzyk Pijawka nazywał się właściwie Kutner, a Pijawką nazywano go w miasteczku za okrutną, bezwstydną lichwę.

Chrześcijanie przypuszczają zwykle, że ofiarą lichwy padają tylko oni sami, bo „kruk krukowi oka nie wykole”. Jednakże Ajzyk Pijawka grasował prawie wyłącznie pomiędzy Żydami.

Drobni przekupnie i przekupki pożyczali od niego pieniądze na kupno towaru, zamieniając się stopniowo w jego białych murzynów.

Pracowali, harowali, płacili w ciągu długich lat bezwstydną procenty, zdawałoby się, że już dziesięć razy dług swój pokryli, a ciągle mu byli winni to samo lub jeszcze więcej. Pasożytywał on także na ludzkim nieszczęściu: pożyczano się od niego na chorobę lub na pogrzeb bliskich i pożyczający przy tej sposobności sam sobie grób kopał, idąc w wieczną niewolę do Ajzyka Pijawki.

Zaradna i pracowita Chaja Rybiarka wyjątkowo dawała sobie radę bez kredytu Ajzyka.

Ale i na nią przyszła zła godzina, prawdziwy dopust Boży.

Zachorowała ciężko jej córka i trzeba było zawieźć ją na operację do Łodzi.

Jakże nie ratować dziecka? Jak się nie ma, trzeba pożyczyc, choćby u Ajzyka Pijawki.

Operacja i kilkutygodniowy pobyt w klinice kosztują 360 rubli. To są wielkie, ciężkie pieniądze, cały majątek.

Skąpiec, Pieniądz

Poszła tedy Chaja po pożyczkę do Ajzyka.

Ta sama Chaja krzyknęła mu kiedyś prosto w oczy w sądny dzień w synagodze, że takich jak on podleców rabin powinien zabronić wpuszczać do synagogi.

Ajzyk doskonale słyszał jej słowa, mógłby więc teraz powiedzieć: „Aha, przysłała koza do woza”.

Ale Ajzyk Pijawka się w takie głupie zemsty nie bawił.

Dla niego każdy nowy klient to dojna krowa, a któż to dojną krowę wygna ze swej obory, nawet gdyby go kiedyś kopnęła.

Poskrobał się w brodzie i zapytał, nie odpowiadając na powitanie Chai:

— Nu, ile potrzebujesz?

— Trzysta sześćdziesiąt rubli — odpowiedziała z westchnieniem Chaja. — Ja na operację, bo moja córka...

— To mnie wszystko nie obchodzi — przerwał jej Ajzyk. — Mnie obchodzi tylko, że ty potrzebujesz trzysta sześćdziesiąt rubli. Na jaki termin?

— Najmniej na rok — odpowiedziała — bo przed rokiem...

— Więc na rok — przerwał jej znowu Ajzyk. — Podpiszesz weksel na pięćset rubli...

— Jak to na pięćset? Mnie trzysta sześćdziesiąt zupełnie wystarczy. Po co ja mam brać więcej?

— Toteż dostaniesz trzysta sześćdziesiąt rubli, ani grosza więcej. Reszta to procenty.

— Jakie procenty? Ja mogę procent płacić miesięcznie, więc po co wliczać do pożyczki?

— Toteż będziesz płacić oprócz tego miesięcznie urzędowe dziesięć procent.

— No, dobrze, to jest nawet całkiem mały procent — zgodziła się Chaja. — Ale wy mówicie, jeśli moja głowa dobrze rozumie, że ja mam podpisać weksel na pięćset rubli, a dostanę wszystkiego trzysta sześćdziesiąt, więc gdzie się podzieje ta różnica?

— Te sto czterdzieści rubli różnicy to jest mój procent, mój, a nie urzędowy, bo ja pożyczam na czterdzieści procent, a nie na ich głupie dziesięć procent. Ja muszę mieć gwarancję i odszkodowanie za to, że ryzykuję. Jak ty umrzesz, to kto za ciebie zapłaci? Czy ty masz sklep, dom, place?

— A dlaczego wy ten wasz procent wliczacie do kapitału?

— Mogłbym ci odpowiedzieć, że ty jesteś głupia kobieta i nic nie rozumiesz. Podobają ci się, to podpisz weksel, nie, to idź na złamanie karku! Ale że tutaj nie jest telegraf i każde słowo nie kosztuje pieniędzy, więc ja ci mogę objaśnić. Ja będę brać od ciebie tylko urzędowy procent, bo więcej nie mam prawa, a te sto czterdzieści rubli ja wliczam do kapitału i w taki sposób pokrywam sobie z góry mój procent taki, jaki ja naznaczam. Zrozumiałaś?

— Oj, zrozumiałam — krzyknęła Chaja — ale wy przecież nie powinniście zarzynać tak człowieka! To jest rozbój!

— Czy ja do ciebie przyszedłem, czy ty do mnie? Uważasz, że cię zarzynam, to idź skąd przysłałaś, ja cię nie zatrzymuję. Idź i nie zabieraj mi czasu.

I Chaja Rybiarka podpisała ów zabójczy dokument i zdawałoby się, że na całe życie zaprzedała się w niewolę Ajzykowi Pijawce.

Ale los okazał się dla niej jakoś łaskawszy niżeli dla innych ofiar Ajzyka Pijawki.

Na tydzień przed operacją i przed ową pożyczką napisała do starszego brata, który w młodości wyemigrował do Londynu i miał na Whitechapel sklepik spożywczy z koszernymi wiktuałami. Pisała, że potrzeba jej 360 rubli, a skąd weźmie taki majątek nieszczęśliwa wdowa obarczona trojgiem niedorosłych dzieci.

Pisała bez wielkiej nadziei, bo brat długie lata jej już nie widział, a przy tym wiedziała, że on sam nie jest Rotszyldem⁴⁵, a średnio zamożnym sklepikarzem.

Ale w trzy tygodnie potem brat przysłał jej odpowiednią ilość funtów i jeszcze napisał, że dobrze zrobiła, zwracając się do niego.

— Tacy to są żydowscy bracia! — mówiła Dwojra Pierzarka, która cieszyła się podwójnie, ze szczęścia Chai i z tego, że są jeszcze na świecie dobrzy ludzie.

Pobiegła Chaja Rybiarka do Ajzyka:

⁴⁵Rotszyld — nazwisko sławnych bankierów, których działalność obejmowała wiele krajów europejskich. [przypis edytorski]

— Miesiąc temu pożyczyłam od was trzysta sześćdziesiąt rubli. Przychodzę teraz zapłacić te pieniądze.

— Jakie trzysta sześćdziesiąt rubli? — zdziwił się Ajzyk. — Ty ode mnie pożyczyłaś pięćset rubli i ja na to mam weksel.

— No tak, bo policzyliście sobie ten wasz procent za rok z góry i jeszcze za ryzyko. A teraz upłynął nie rok, a jeden miesiąc, i ryzyko też upadło, bo ja wam rzetelnie wypłaciłam trzysta sześćdziesiąt rubli. No i jeśli koniecznie chcecie, mogę wam zapłacić nawet ten wasz duży nieurzędowy procent za jeden miesiąc.

— Moja droga, do jutra będziemy z sobą gadać i nic z tego nie wyjdzie! — odpowiedział Ajzyk. — Ty wciąż mówisz o trzystu sześćdziesięciu rublach, a ja będę mówił o pięciuset rublach, które mi się od ciebie należą i na które mam weksel.

Tutaj Chaja Rybiarka do reszty straciła cierpliwość.

— Ty zbrodniarzu, ty gorszy jesteś od tego zbója, co ludzi zarzyna na drodze lub w lesie, bo tamten choć ryzykuje swoją skórę, a ty bezkarnie ludzi zabijasz! Ale ja ci powiem, Ajzyku Pijawko (bo ty jesteś paskudna pijawka, a nie człowiek!), moje ostatnie słowo: albo bierz te trzysta sześćdziesiąt rubli i procenty za miesiąc, albo grosza ode mnie nie zobaczysz! Żebyś tak skończyła na tym miejscu, jeżeli ci dam więcej! A co do twego weksła, to możesz sobie nim...

Tutaj Chaja wypowiedziała wielce nieprzyzwoitą propozycję, użytku owego weksła dotyczącą.

— To jeszcze zobaczymy — odpowiedział z pełnym spokojem Ajzyk. — Przede wszystkim ja ci sprzedam twoje graty. Graty masz pewnie takie paskudne jak twoja pyskata gęba, a jednak jak będziesz musiała wszystko na nowo kupować, to cię będzie kosztowało więcej, niżeli mi jesteś winna. Ja się nie pokryję ze sprzedaży tego śmiecia, ale ty stracisz i jeszcze będziesz miała wstyd przed ludźmi, jak twoje rzeczy będą wynosili z domu.

Chaja na chwilę się zastanowiła.

Miała ona, wbrew przypuszczeniom Ajzyka, bardzo porządne, po dziadkach, co znali lepsze czasy, odziedziczone meble: dużą szafę dębową, także komodę, dwa jeszcze nowe łóżka, porządny stół i sześć krzeseł, dużo naczyń, a oprócz tego zegar z kukułką i wyjątkowo piękny szabasowy świecznik.

Chaja była bardzo dumna z tych mebli i utrzymywała je we wzorowym porządku, i zawsze powtarzała:

— Do mnie jak kto przyjdzie i zobaczy moje meble, to zaraz wie, z kim ma do czynienia...

Toteż pogrózka Ajzyka zrobiła na niej wrażenie.

— Ja wam dam całe czterysta rubli, to jest wszystko, co mam, bo ja pisałam do brata, że mi potrzeba trzysta sześćdziesiąt rubli, więc...

— Powiedziałem pięćset rubli i jeszcze ten urzędowy procent za ten jeden miesiąc — odpowiedział Ajzyk.

Chaja nagle się uspokoiła:

— Ani pięćset rubli, ani jednego złamanego grosza ty ode mnie nie zobaczysz! — odpowiedziała i wyszła.

Następnego wieczora Chaja stała przed szynkiem Cementa. Nie wchodziła jednak do szynku, tylko jak gdyby na kogoś czekała.

— Cóż to, Chaję ciągnie do wódeczki? — zażartowała jakaś przechodząca kumoszka.

Innym razem Chaja powiedziała jej kilka mocnych słów, ale w tej chwili miała ważniejsze sprawy na głowie, więc odrzekła zupełnie spokojnie.

— Nie, ja czekam tutaj na ludzi, do których mam pewien interes.

Jakoż w kilka minut później wyszedł z szynku znany pijak Josele, brat niedźwiedzia, i przyjaciel jego Nuchim, czeladnik rzeźnicki, również kieliszkiem niegardzący. Nie byli pijani, bo tymi trzema głupimi kieliszkami upić się przecież człowiek nie może, a Cement (czarny rok na niego!) nic na kredyt dawać nie chciał. Byli więc zupełnie trzeźwi i wskutek tego dość markotni.

Chaja podeszła do nich.

— Wy chcecie zarobić duże dwie butelki wódki, po butelce na człowieka? — zapytała bez wstępu.

— Za dwie butelki wódki to myśmy gotowi psa w ogon pocałować — odpowiedział posepnie Josel.

— A nawet panią Chaję w twarz... — uzupełnił wesoło Nuchim.

— Ja takim łobuzom jak wy nie tylko w twarz, ale nawet w tyłek pocałować się nie pozwolę — odpowiedziała dobrodusznie Chaja. — Ale dosyć tych głupich żartów. Ja mam do was poważny interes. Chodźcie do mnie, bo niepotrzebne są nam ludzkie uszy. Poczekajcie tutaj na chwilę, ja wezmę ze sobą małą butelkę na zadatek.

Chaja szybko załatwiła sprawunki, oprócz wódki kupiła jeszcze dwa śledzie i kilka kwaszonych ogórków, potem cała trójka wyruszyła do jej mieszkania.

— No, co to jest za interes? — zapytał Josele, gdy już wypili po dwa kieliszki.

— Co tu dużo gadać — odpowiedziała Chaja. — Ja wam powiem krótko i dobrze! Ja wam dam po butelce litrowej wódki i jeszcze coś pieniędzy do ręki, a wy mi za to pomożecie urządzić — pogrom!

— Pogrom na Polaków?! — krzyknął zdziwiony Josele, bo przecież nie mógł przypuszczać, że Chaja chce urządzić pogrom na Żydów.

— Na gojów? Co oni mi przeszkadzają? Ja nawet u nich sporo targuję.

— Więc na Żydów chce Chaja urządzić pogrom?!

— Pypeć tobie na język za takie paskudne słowo!

— To może na koty i psy? — zażartował Nuchim.

— To są hycła sprawy, a nie nasze.

— Więc na kogóż, do licha, mamy urządzić ten pogrom? — niecierpliwił się Josele.

— Na Ajzyka Pijawkę.

Tutaj Chaja wyłożyła im swoją z Ajzykiem sprawę.

— Ja go dobrze znam — powiedział z westchnieniem Josele, brat niedźwiedzia. — Jak mój brat żył i jak ja jeszcze byłem człowiekiem, to pożyczyłem u niego sto rubli, aby posłać bratu, i później nie mogłem już wyleźć z tego długu.

— A moja matka dotychczas cierpi od niego — powiedział Nuchim. — Ona pożyczyla trzydzieści rubli na swój handel cytrynami. Już pewnie wypłaciła ze dwieście, a wciąż to samo mu jest winna. Pies, a nie człowiek!

— No, więc widzicie! — mówiła Chaja. — Czy on nie zasługuje, aby jemu urządzić pogrom? Zemście się jednocześnie za moją i za wasze krzywdy, i więcej wam powiem: za krzywdę wszystkich biednych ludzi z naszego miasteczka!

Przez jakiś czas jeszcze radzili, omawiając szczegółowo plan strategiczny.

Pijawka zajmował mały, na uboczu stojący domek. Lokatorów nie miał, bo dom składał się tylko z dwóch niewielkich izdebek. O dziewiątej żona wychodziła po zakupy na targ i wtedy oprócz Ajzyka nie było w domu żywej duszy.

Na drugi dzień kilka minut po dziewiątej u drzwi Ajzyka Kutnera rozległo się stukanie. Gdy otworzył, ujrzał przed sobą Joseła i Nuchima. Chaja Rybiarka sprawowała tymczasem straż przed domem, by w razie potrzeby dać znak odwrotu.

Nuchim w jednej chwili związał mu ręce, a Josel powiedział:

— Ty się nie bój, my nie jesteśmy zbroje i zabić cię nie mamy żadnego zamiaru, choć prawdę mówiąc, zasługujesz na to. Ty nam musisz wydać weksel Chai Rybiarki i wszystkie inne, które trzymasz tu w kantorku. A jeśli nie wydasz, to cię tak pobijemy, że się gnatów później nie doliczysz, a w domu twoim urządzimy pogrom.

Ajzyk Pijawka otworzył usta, chcąc widocznie wołać o pomoc, ale Nuchim położył mu rękę na ustach i powiedział:

— Jeśli piśniesz, to ci natychmiast zaknebluję usta tak dokładnie, że tchu nie będziesz mógł złapać.

— Gdzie klucze od kantorka? — zapytał Josele i nie czekając odpowiedzi, sięgnął do kieszeni Ajzyka i natychmiast odnalazł owe klucze.

Otworzyli szuflady i znaleźli cały plik weksli.

— To wszystko pójdzie do rzeki — powiedział Josele — niech ryby dyskontują twoje weksle!

— Nie gubcie mnie! — wykrztusił wreszcie Pijawka. — Przecież was i mnie rodziła żydowska matka!

— Ciebie rodziła k... a, a nie żydowska matka! — odpowiedział Nuchim i zaczął szukać po szufladach pieniędzy, ale Josele, brat niedźwiedzia, przytrzymał go za rękę:

— Ani grosza stąd nie weźmiesz, Nuchimie! — powiedział stanowczo. — Myśmy tu nie przyszedli kraść, a ująć się za ludzką krzywdę!

I zdawalioby się, że to mówi nie obecny Josele, Josele nałogowy pijanica, ale ten drugi Josele, z czasów, kiedy żył jeszcze jego brat — wielki artysta.

Nuchim cofnął się zawstydzony, a Josele mówił, patrząc się w zło i mętne od strachu ślepie Pijawki.

— Ja wiem, że my powinniśmy cię zakłuć jak parszywego psa, bo ty pójdziesz skarżyć się na nas do policji. Ale jedno ci powiem: nic na tym nie zyskasz! Za tobą w sądzie nikt świadczyć nie będzie, bo całe miasto cię nienawidzi, a przeciwko tobie będą wszyscy i wydadzą się wtedy twoje lichwiarskie sprawki. A przy tym, jeżeli się dowiem, że choć słowo pisnąłeś w policji, na tamten świat cię wyprawię. Ja się przed niczym nie cofnę, bo od czasu, jak umarł mój brat, ja nie mam już nic do stracenia.

I ujrzał Ajzyk w oczach tego straceńca nieodwołalny wyrok.

— Ja nikomu nic nie powiem, przysięgam...

— Twoja przysięga mniej u mnie znaczy niż psie szczekanie, ale mimo to jestem spokojny. Dla takich jak ty strach to najlepsza przysięga — odpowiedział pogardliwie Josele, wrzucając do przyniesionego worka stopy weksli.

— Chodźmy, bracie! — zwrócił się do Nuchima.

Ale Nuchim dojrzał tymczasem w szufladzie dwa pudełka z oddanymi widocznie w zastaw klejnotami. Były to tanie, ubożuchne precjoza biednych ludzi. W jednym długim, tekturowym pudle, jak gdyby od gorsetu, leżały złote łańcuszki, pierścionki i kolczyki z cienkiego złota. Niewielkie turkusiki przeświecały przez to złoto niby niezapominajki poprzez słońcem przepaloną trawę, a maleńkie, grubego szlifu diamenty lśniły się jak łzy tych ludzi, co tu przynosili ostatnie swoje mienie.

Długi sznur barokowych pereł, jakimi dawniej Żydówki podtrzymywały swe kupki (ubranie głowy), wił się jak wąż wzdłuż pudełka.

W drugim drewnianym pudełku od cygar cicho spały złote i srebrne zegarki od miesięcy, czy też od lat nienakręcone, odpoczywały sobie po nieustannej dziennej i nocnej pracy.

Pośród tałatajstwa zabłąkała się czystej krwi arystokratka, złota, precudnej roboty tabakierka z miniaturą, której nie powstydziliby się sam Bacciarelli⁴⁶.

Nuchim wyrzucił zawartość obu pudełek na ziemię.

— Jak pogrom, to pogrom! — zawołał wesoło. — Potańcuję sobie raz w życiu na złocie!

I podniósł nogę, by ogromnym ciężkim buciorem zmiażdżyć ten cały dobytek.

Ajzyk Pijawka zawył nagle, zaskowytał jak śmiertelnie zraniony pies, rzucił się na ziemię, wyciągnął się plackiem na stosie klejnotów, ciałem własnym je osłaniając.

Nuchim pchnął go raz i drugi butem. Pijawka mocno zaskowyczał, ale się nie poruszył.

Josele spojrzął na tę czarną, spłaszczoną masę ciała, podobną do rozdeptanego gada, i zdawało mu się, że w izbie jest nieznośny zaduch.

„Tak pewnie śmierdzi zdeptana żmija” — pomyślał i z obrzydzeniem splunął.

— Chodźmy, Nuchimie — powiedział.

Nuchim jeszcze raz, „dla porządku” kopnął Pijawkę, wciąż powtarzając swoje:

— Jak pogrom, to pogrom!

I unosząc worek z wekslami, wyszli.

Ajzyk Pijawka istotnie nie poszedł skarżyć się do policji, zbyt nieczyste miał bowiem sumienie i przy tym jak ognia bał się Josela.

Natomiast na drugi dzień zjawił się u rabina, by mu przedstawić całą sprawę.

Rabin wysłuchał go z dobronudszym uśmiechem, jak gdyby chodziło o niewinny dziecięcy figiel, a później odpowiedział:

⁴⁶Bacciarelli, *Marcello* (1731–1818) — malarz włoski, nadworny malarz króla Stanisława Augusta Poniatowskiego, zasłynął jako utalentowany portrecista. [przypis edytorski]

— Czy przypominacie sobie Kutner, jak rok temu przed samym Sądnym Dniem⁴⁷ wzywałem was do siebie na skutek nieustannych skarg ludzkich i powiedziałem: „Jutro jest u nas najważniejszy dzień całego roku: Dzień Przebaczenia. Kutner, jeżeli wy chcecie, aby Pan Bóg wam przebaczył, to przede wszystkim muszą wam przebaczyć ludzie, których ciężko, bardzo ciężko krzywdzicie. Inaczej nie macie po co chodzić do synagogi, bo żadna modlitwa wam nie pomoże”. A coście mi na to odpowiedzieli? Ja dobrze zapamiętałem wasze słowa. Powiedzieliście tak: „Rabi, są na świecie ptaki, co latają w powietrzu, i są robaki, co pełzają po ziemi. Każde z nich żyje sobie, jak chce, i może i jedno do drugiego nie powinno się wtrącać. Wy, rabi, jesteście taki ptak, a ja jestem marny ziemski robak. Wy sobie dalej latajcie w powietrzu i módlcie się do Pana Boga, a do moich ziemskich interesów wy się nie wtrącajcie, bo wy ich nie znacie i nie rozumiecie”. Ja zapamiętałem dobrze te słowa i powiedziałem sobie raz na zawsze: „Kutner ma słuszość, ja się więcej do jego spraw mieszać nie będę, ja co najwyżej mogę się pomodlić do Pana Boga, aby odmienił jego serce”.

Po tej odpowiedzi rabina Ajzyk Pijawka zrozumiał, że nie ma już dla niego miejsca w naszym miasteczku.

Nie obroni go ani Bóg w osobie swego ziemskiego ambasadora, rabina, ani ludzie, którzy go nienawidzą, ani nawet policja, która gotowa jeszcze wyciągnąć na światło dzienne różne jego lichwiarskie i paserskie sprawy. W kilka tygodni potem Ajzyk Pijawka wynajął swój dom i cichaczem wyniósł się z miasteczka.

Chaja Rybiarka triumfowała i tak wychwalała swoje zasługi, że jacyś żartownisie puścili pogłoskę, iż radni w kahale⁴⁸ urządzili postawić jej po śmierci pomnik na rynku miasteczka.

Jednakże nikt w miasteczku nie przypuszczał, że rozgłos rozprawy z Ajzykiem Pijawką dojdzie aż do samej Warszawy.

A stało się to za sprawą telegrafisty, pana Boczkowskiego.

Pan Boczkowski żywił w skrytości serca wielkie aspiracje dziennikarskie, lecz dotychczas odrzucano mu z reguły wszystkie jego korespondencje. Tym razem jednak artykuł jego został przyjęty. Artykuł ten nosił fascynujący, grubymi literami wydrukowany tytuł:

Oszczerstwa żydowskie. W celu sprowokowania opinii Żydzi sami na siebie urządzają pogromy!

PASKUDNE KOBIETY

W naszym miasteczku mniej więcej dwie trzecie ludności stanowili żydzi, chrześcijanie zaś najwyżej jedną trzecią.

Stosunek tych dwóch zupełnie odrębnych społeczeństw nie był zdecydowanie wrogi, lecz raczej obojętny, z pewną domieszką wzajemnej nieufności i lekceważenia. Spotykali się ci ludzie wyłącznie przy transakcjach handlowych. Przeważnie chrześcijanie (u nas mówiło się Polacy lub goje) kupowali, a żydzi sprzedawali. Były także pewne wyjątki, na przykład w aptece pana Dziewulskiego, w ogrodzie pana Kobiałki, u kupca pana Podleskiego i szewca Rudzkiego, u wiejskich bab na targu sprzedawali chrześcijanie, zaś żydzi kupowali. Poza tymi czysto handlowymi stosunkami chrześcijanie i żydzi zupełnie nie obcowali ze sobą. Przepaść między tymi obywatelami jednego kraju, synami jednej ziemi była tak olbrzymia, jak gdyby byli mieszkańcami już nie różnych krajów, ale dwóch planet. Mieli na przykład święta o wspólnym mianie, choć o innym znaczeniu religijnym — Wielkanoc, Zielone Świątki — i święta te przypadały prawie równocześnie.

Zdawałoby się, że te dni świąteczne, jedyne promienie słoneczne w szarym martwym życiu miasteczka, powinny jakoś łaskawie i pojednawczo usposabiać jednych dla drugich. Powinni by ludzie myśleć: biedni jesteśmy, smutne i ciężkie jest życie w naszym miasteczku, dobrze, że my wszyscy, chrześcijanie i żydzi, mamy od czasu do czasu święto.

⁴⁷ *Sądny Dzień* — Jom Kipur, jedno z najważniejszych religijnych świąt żydowskich, dzień postu i pokuty. Pobożni Żydzi wierzą, że w tym dniu Bóg wyznacza losy wszystkich ludzi na następny rok, według ich dotychczasowych uczynków. [przypis edytorski]

⁴⁸ *kahal* — gmina żydowska; także: władze takiej gminy. [przypis edytorski]

Było zaś wprost przeciwnie. Żydzi mówili o „gojach”, że ich święta polegają wyłącznie na obżeraniu się i zwłaszcza na pijatyce, chrześcijanie twierdzili, że w wielkanocnych macach jest krew chrześcijańskich dzieci. I chociaż w naszym miasteczku nie zginęło w sposób tajemniczy ani jedno chrześcijańskie dziecko, wierzyli w to; gorzej jeszcze: jak gdyby się godzili z tym przesądem jak ze złem koniecznym, którego zmienić niepodobna.

Uboga praczka Stasiowa twierdziła, że wszystkie żydowskie panny, mężatki i wdowy mają parcha, który starannie ukrywają pod włosami lub peruką. Niemniejsza od niej nędzarka, przekupka Chawa, której jedynym majątkiem był koszyk z gotowanym bobem, również stanowczo utrzymywała, że wszystkie chrześcijańskie mężatki, panny i wdowy śpią z cudzymi mężczyznami. I obie znajdowały u swoich posłuch i wiarę. Nawet na tej ostatniej, na cmentarz wiodącej drodze nie mogli się po bratersku spotkać ci ludzie i hołd wzajemnie oddać majestatowi cierpienia i śmierci.

Żydzi uciekali, gdy zobaczyli chrześcijański pogrzeb, by nie być zmuszeni zdjąć czapkę, co dla nabożnego żyda jest grzechem.

Chrześcijańskie kobiety uciekały również, aby się jakieś „złe” nie przybłąkało, bo na żydowskim pogrzebie kręca się w powietrzu złe duchy, których sporo też na żydowskim „kirkucie”. (Nie powiedziałyby nigdy „na żydowskim cmentarzu”).

W naszym miasteczku nie było polskich i żydowskich dzielnic. Żydzi i chrześcijanie mieszkali jedni obok drugich, czasami nawet w jednym domu, ale nie łączyły ich nigdy przyjacielskie i bardzo rzadko sąsiedzkie stosunki.

Wyjątek stanowiły tylko one jedne — paskudne kobiety...

Pewnego razu przyjechała do naszego miasteczka jakaś pretensjonalnie ubrana starsza kobieta i kupiła od sukcesorów rzeźnika Michła starą ruderę na końcu miasta, tuż obok żydowskiego cmentarza. Dom ten trochę odświeżono, niejako wylatano i wkrótce potem zajęły dwa ogromne wozy, naładowane różnymi gratami, a na stosie tych gratów zasiadały dwie młode, dość ładne, jaskrawo ubrane dziewczyny, niby to, czy też naprawdę, krewniaczki pani Kury, nowej obywatelki naszego miasta.

W największej izbie, wyklejonej teraz czerwonym papierem, ustawiono wytarte aksamiotne meble, wazony z papierowymi kwiatami, gramofon, w oknach zawieszono czerwone firanki, a nad drzwiami dwa chińskie lampiony.

Zmiarkowali od razu ludzie, co się tutaj święci, ale nie reagowali zbyt, bo cóż porządnych obywateli mogą obchodzić takie niecne sprawy.

Tylko trwożliwe matki przestrzegaly swe dorosłe i dorastające córki:

— Nie spacerujcie koło cmentarza i starajcie się nie przechodzić obok domu pod lampionami, bo tam mieszkają „paskudne kobiety”.

— A co one mogą nam zrobić? — pytały bardziej rezolutne żydowskie panienki.

— Po pierwsze, uczciwa panna, a nawet mężatka nie powinna widzieć na oczy paskudnych kobiet, a po drugie, kto wie... one was mogą przemocą wciągnąć do tego domu!

Ta głupia pogrózka jakoś skutkowałą i żydowskie dziewczęta nie wiedziałyby nic o życiu paskudnych kobiet, gdyby nie rybiarka Chaja.

Rybiarka Chaja była osobliwą kobietą: sama nie wiedząc o tym, nie miała żadnych przesądów rasowych lub obyczajowych.

Z dwoma ogromnymi koszami ryb chodziła po całym miasteczku, po wszystkich domach chrześcijańskich i żydowskich, sprzedając swój żywy i śnięty towar.

Dobrymi ludźmi nazywała tych, którzy stale kupowali u niej i zbyt się nie targowali, źli ludzie byli ci, którzy „żyły z niej wypruwali”, niemiłosiernie się targując, lub ci, którzy kupowali bezpośrednio u rybaka Michcika w pobliskiej wsi, Wrzeszczewicach. Zwłaszcza tym ostatnim Chaja życzyła stale i z głębi serca „nagłej śmierci”.

Od tej właśnie Chai dowiedzieliśmy się wiele szczegółów z życia paskudnych kobiet. Dla niej mieszkanki tego domu były to dobre kobiety, a nawet dobre panie, bo dużo kupowały u Chai i wcale się nie targowały.

Od Chai dowiedzieliśmy się przede wszystkim, że do domu przy cmentarzu przybyły dwie nowe mieszkanki: Zosia Kacparkówna, była służąca aptekarskiej, i jej siostra stryjeczna ze wsi, Frania Ogarkówna.

Kobieta „upadła”

Zosię wypędziła pani aptekarzowa — opowiadała Chaja — kiedy spostrzegła, że dziewczyna jest w ciąży i kiedy w dodatku dowiedziano się, że ojcem przyszłego dziecka może być zarówno pan prowizor⁴⁹, jak pan aptekarz.

Zwróciła się wówczas Zosia do Chai, która stale przychodziła do tego domu z rybami, prosząc o wyszukanie jakiegoś choćby najgorszego „obowiązku”.

I Chaja znalazła jej „obowiązek” — w domu obok cmentarza. Właścicielka domu, pani Kura, spostrzegła od razu, że urodziwa, postawna dziewczyna po upływie ciąży może stać się dla niej bardzo pożądanym nabytkiem. Przyjęła ją bardzo chętnie, bo już niektórzy stali klienci skarżyli się, że „same czarne i same Żydówki”.

Zosia odbyła połów w domu pani Kury, a dziecko za pośrednictwem Chai oddano „na garnuszek” do pobliskich Wrzeszczewic, gdzie Zosia mogła je co tydzień odwiedzać. Z tych to właśnie Wrzeszczewic sprowadziła Zosia swoją krewniaczkę, ubogą sierotę, Frankę Ogarkównę.

O współżyciu tych pięciu kobiet, trzech żydówek i dwóch chrześcijanek, dowiadujemy się od Chai.

Opowiadała nam, że panna Zosia siedzi teraz w kozie, bo zraniła butelką jakiegoś wojskowego, który zwymyślał i pobił jej koleżankę, pannę Sarę. Chaja Rybiarka, która stale tykała wszystkie służące, o mieszkankach domu pod lampionami mówiła zawsze „panna” Zosia, „panna” Sara, „pani” Kura.

Innym razem, idąc na wieś do Michcika po ryby, pokazała nam włóczkową sukienkę i czapeczkę, którą dla dziecka panny Zosi sporządziły panna Sara i panna Rebeka.

A w kilka miesięcy potem wydarzyła się w naszym miasteczku rzecz dotąd niesłychana.

Do zakładu pogrzebowego pana Winnickiego przyszła panna Sara i wybrała wieniec z zielonej blachy z żółtymi różami i liliowymi astrami.

Subiekt⁵⁰, który poznał od razu mieszkankę domu pod lampionami, odezwał się żartobliwie:

— Cóż to, jakiś młodzieniec zabił się z miłości dla panienki i panienka mu za to kupuje taki wspaniały wieniec?

Sara zaś odburknęła:

— Ja tam dla żadnego gościa nic kupować nie będę, bo oni wszyscy tyle dla mnie znaczą, co parszywe psy. Umarło dziecko mojej koleżanki Zosi i chcąc, żeby pogrzeb odbył się po ludzku, myśmy się złożyły z Rebeką na ten wianek.

A widząc, że subiekt wciąż się uśmiecha, dodała:

— I proszę nie kpić, a prędko mnie obsłużyć, bo kupuję i płacę gotówką, to ze mną trzeba grzecznie!

Wzięła z rąk subiekta nieopakowany nawet wianek, zapłaciła i wyszła.

I szła tak w jarzącym letnim słońcu, w swej niebieskiej sukni, czerwonym kapeluszu i żółtych bucikach, z olbrzymim różnobarwnym wieniec w ręku, podobna do jaskrawej i zarazem makabrycznej malowanki.

W innym, większym mieście myśleliby zaraz ludzie, że w domu pod lampionami odbywają się jakieś czarne msze, jakieś plugawe i świętokradzkie obrzędy, ale w naszym miasteczku nie znali się ludzie na takich perwersjach, twierdzili więc wprost, że z „paskudnego życia” Sara zwariowała.

Pod wpływem opowiadania Chai Rybiarki i książki Dostojewskiego *Wina i kara*⁵¹ wyidealizowałyśmy sobie „paskudne kobiety” i postanowiłyśmy ni mniej ni więcej, jak zbliżyć się do nich. Wierzyłyśmy wtedy święcie, my głupie, niedoświadczone gąski, że każda taka prostytutka podobna jest do Soni z powieści Dostojewskiego.

Wybrałyśmy się tedy pewnego popołudnia na ową ryzykowną eskapadę.

Kiedy z bijącym sercem zbliżyłyśmy się do domu pod lampionami, ujrzałyśmy na schodkach przed domem dwie siedzące kobiety.

Jedna z nich miała głowę złożoną na kolanach drugiej, druga zaś, jak nam się zrazu wydawało, głaskała ją po głowie.

— Biedne one — szepnęła Hela — jedna płacze, a druga ją pociesza.

⁴⁹*prowizor* (daw.) — pracownik apteki o niższym stopniu niż magister farmacji. [przypis edytorski]

⁵⁰*subiekt* (daw.) — sprzedawca w sklepie. [przypis edytorski]

⁵¹*Wina i kara* — właśc. *Zbrodnia i kara* (ros. *Преступление и наказание*), powieść Fiodora Dostojewskiego z roku 1866. [przypis edytorski]

Ale kiedyśmy podeszły jeszcze bliżej, usłyszałyśmy następującą rozmowę:

— Kiedy, moja Zosiu, nie masz już ani jednej wszy i gnidy ci też wszystkie wybiłam.

— Nic nie szkodzi — odparła druga — iskaj dalej, Saruś, tak sobie dla przyjemności...

Te słowa trochę nas już zraziły. Ale oto Sara dojrzała nas i krzyknęła na wpół żartobliwie, na poły groźnie:

— Cóż to, przyszłyście robić nam konkurencję?

— Zmykajcie stąd, szelmy jedne! — dodała Zosia.

Spłoszone, odbiegłyśmy kilka kroków i zatrzymałyśmy się znowu niepewne, co dalej począć.

I wtedy... ujrzałyśmy... do końca życia tego nie zapomnę... Koło domu przechodził jakiś wojskowy. Zośka rzuciła słowa, straszne, plugawe słowa, a Sara poparła te słowa ohydny gestem.

Nigdy, nawet w takich snach, których człowiek wstydzi się przed samym sobą, nie słyszałyśmy takich słów i nie widziałyśmy takich gestów.

Wydawało nam się, że to jakiś koszmar, czy też potworna halucynacja. Uciekłyśmy i odtąd starałyśmy się nie przechodzić nigdy koło domu pod lampionami.

Teraz, po długich latach, nie przeraziłyby nas tak na pewno owe plugawe gesty i słowa. Ale i teraz jeszcze ogarnia mnie przerażenie, gdy pomyślę, że pośród wszystkich chrześcijan i żydów naszego miasteczka żyły po bratersku, po ludzku, ze sobą tylko one jedne — te „paskudne” kobiety.

ŻYDÓWECZKO, CHODŹ NA BEZ

W naszym miasteczku nie było średnich zakładów naukowych. Szkoła powszechna, dwa chedery i tak szumnie nazwana „Wyższa Pensja Żeńska” kształciły z dość miernym skutkiem przyszłych obywateli i obywatelki naszego miasteczka.

Hanusia chodziła na pensję, a właściwie do małej szkółki, w której pani Gancowa i jej siostra ułomna, panna Balbina, reprezentowały cały personel nauczycielski.

Dla ścisłości dodać należy, że pan Stalski, nauczyciel szkoły powszechnej, wykladał uczennicom pani Gancowej raz na tydzień historię i geografę.

Matka dziwiła się bardzo, że choć Hanusia uczy się dobrze i jest lubiana przez nauczycielki i koleżanki, trzeba ją każdego poranku wypędzać po prostu z domu.

Nie wiedziała bowiem, że Hanusia, idąc na pensję, spotyka stale swoich prześladowców, kilku chrześcijańskich chłopców, śpieszących do szkoły powszechnej.

Był to najprzykrzejszy moment jej dnia, Hanusia bowiem jak ognia bała się tego spotkania, biegła jak szalona z bijącym mocno sercem i z płonną nadzieją, że jej może nie dostrzegą lub w milczeniu ominą.

Ale gdzież tam! Gdy ją tylko dostrzegali, zaczynali śpiewać, a raczej wrzeszczeć na całe gardło:

„Żydóweczka Chajka
Sprzedawała jajka,
Po trzy grosze mendel jaj
Aj waj, aj waj!”

Albo też drugą:

„Przyszedł na świat Mesyjasz,
Był to wielki wywijasz!
Papierowe buty miał,
W szklane portki się ubrał!
Za nim biegły Żydóweczki,
Gubiąc swoje patyneczki⁵².

⁵²patynki (daw.) — płytkie pantofelki lub trzewiczki. [przypis edytorski]

Najczęściej jednak śpiewali następującą piosenkę:

„Żydóweczko, chodź na bez!
Ja nie pójdę, bo szabes!
Mama by mnie wybiła,
Żem na szabes chodziła”.

Daremnie mówiła sobie Hanusia, że piosenki te są głupie i w gruncie rzeczy niezbyt obraźliwe. Była aż nazbyt ambitna i wrażliwa i silnie odczuwała obelżywą intencję śpiewających, a bronić się nie mogła i nie umiała. Toteż ledwo dostrzegała swych prześladowców, oczy jej napępniały się łzami żalu i bezsilnej złości; a gdy znikali, odśpiewawszy swój codzienny repertuar, zaczynała gorzko płakać.

Myślała wtedy biedaczka: „Co ja jestem winna, że jestem Żydówką”, jak gdyby to rzeczywiście był jakiś wstyd lub ułomność.

Najgłośniej ze wszystkich wyśpiewywał piętnastoletni Romek Podleski, syn kupca korzennego i właściciela jedynej w miasteczku dwupiętrowej kamienicy.

Utrapienie Hanusi trwało już bardzo długo, a kara Boża, której z głębi serca życzyła swoim wrogom, jakoś nie przychodziła. Przeciwnie, stawali się coraz natarczywsi, coraz zuchwalsi.

Aż oto pewnego dnia przeczytała Hanusia powieść pod tytułem *Gwiazda przewodnia*⁵³, której bohaterką była prawa i dzielna dziewczyna, imieniem Marjorie.

Postanowiła tedy być szczerą i odważną jak owa Marjorie i nie cofać się tchórzliwie przed największym nawet niebezpieczeństwem.

Już następnego popołudnia spotkała Romka Podleskiego. Szedł sam jeden, gwizdząc sobie wesoło.

Oczywiście, gdy dojrzał Hanusię, natychmiast zaczął wyśpiewywać:

„Żydóweczko chodź na bez”...

Lecz tym razem Hanusia nie uciekła. Zbliżyła się do niego, stanęła przed nim i powiedziała dobitnie:

— Skoro mnie tak zapraszasz, zgoda. Idę z tobą na bez!

Romek był tak zdziwiony, tak po prostu oszłomiony niesłychanym zuchwalstwem Hanusi, że przez chwilę milczał, a w końcu wybełkotał:

— Co... co takiego?!

Hanusia znów odpowiedziała spokojnie:

— Ciągłe mnie zapraszasz na ten bez, więc chodźmy. Dzisiaj nie jest szabes i mama mnie nie wybije... Ale ty się pewnie boisz dostać lania od swoich rodziców za to, żeś z Żydóweczką na bez chodził.

— Kłamiesz, ja się nikogo nie boję!

— No, więc, jeśli się nie boisz, to chodźmy. Teraz w ogrodzie pana Kobiałki bez zaczyna rozkwitać. Ale ty się na pewno boisz i nie pójdiesz.

— Właśnie, że pójdę i żeby ci pokazać, że się nie boję ani moich starych, ani pana Kobiałki, ani nikogo na świecie, ukradnę ten bez, choć mam w kieszeni dużo pieniędzy.

Wyjął z kieszeni złotą pięciorublowkę i pokazał Hanusi.

— No, więc chodźmy!

Hanusia i Romek szli prędko i w zupełnym milczeniu, od czasu do czasu ukradkiem spoglądając na siebie. Gdy wreszcie doszli, Romek powiedział:

— Ty tutaj stój i czekaj, a ja przeleżę przez płot i narwę bzu.

— Ani myślę — odpowiedziała Hanusia — jak razem, to razem. Jeśli coś mamy oberwać od pana Kobiałki, to niech już będzie dla każdego z nas po połowie.

Romek jak gdyby się zadziwił, ale nic nie odpowiedział. Gwizdnął tylko przeciągle i ruszył ramionami. Za chwilę Hanusia i Romek byli już w ogrodzie. Ogród cały zdawał

⁵³*Gwiazda przewodnia* (ang. *Marjorie's Quest*) — powieść amerykańskiej pisarki Jeanie Gould z roku 1872, opowiadająca historię dziewczynki nieznającej swojego pochodzenia i tułającej się po rodzinach zastępczych i sierocińcach. [przypis edytorski]

się drzemać w słonecznym odrętwieniu. Duży krzew, a raczej drzewo jeszcze niezupełnie rozkwitłych bzów było jak jeden olbrzymi liliowy bukiet.

Na grządkach pełno było wiosennych kwiatów, niezapominajek, stokrotek, żółtych i białych narcyzów.

Naokół ani żywej duszy, tylko kapela owadów brzęczała monotennie swą kołysankę śpiącemu w słońcu ogrodowi.

Romek prędko wdrapał się na drzewo, narwał ogromny bukiet bzu, zeskoczył, wy dobył z kieszeni sznurek, który tam miał „na wszelki wypadek”, związał gałęzie bzu i przerzucił przez parkan, podsadził Hanusię, a gdy była już za parkanem, sam przelazł.

Na ulicy podał więź bzu Hanusi, mówiąc:

— Masz, weź i żebyś więcej nie śmiała gadać, że ja się boję.

— Podzielimy się tym bzem — zaproponowała Hanusia.

— I... i... mnie to zielsko niepotrzebne, to dobre dla bab, a nie dla mnie.

— Więc weź choć jedną gałązkę... na pamiątkę.

— Ja tam nie taki pamiątkarz, jak niektóre osły, co dostają chusteczki, wstążeczki... i inne babskie łachy...

Wziął jednak gałązkę bzu i gniotąc niemilosiernie, wpakował do kieszeni.

Przez chwilę szli w milczeniu, po czym Romek zapytał:

— Jak ty się nazywasz?

— Hanusia.

— Patrzajcie — zadziwił się — to brzmi zupełnie po naszymu. A ja myślałem, że wszystkie Żydówki muszą nazywać się Ryfka albo Srulcia.

— Nie ma nawet takiego imienia: Srulcia — odpowiedziała Hanusia.

— Widzisz, że kłamiesz: jak jest Srul, to musi być i Srulcia. Na przykład u nas jest Jan i Janina, Józef i Józefa, Franciszek i Franciszka, więc jak u was jest Srul, to musi być i Srulcia.

— Zapewniam cię uroczyście, że u nas nie ma imienia Srulcia — odpowiedziała Hanusia.

Chwilę milczeli, a potem Romek znowu zaczął.

— Słuchaj, tylko się nie obraż, bo chcę cię o coś zapytać. Czy to jest prawda, co nasza parczka Stasiowa mówi, że wszystkie Żydówki mają parcha?

— Jak ty śmiesz tak mówić! — krzyknęła Hanusia i podsuwając mu swoją krótko ostrzyżoną głowę, dodała: — Patrz, czy ja mam parcha albo nawet jakieś robaki w głowie... i moje koleżanki... i żadna z moich znajomych nie ma. To jest podle oszczerstwo!

— No, nie gniewaj się Hanusiu, przecież to nie ja mówię, a Stasiowa, i ja się tylko pytam.

A po chwili dodał z zakłopotaniem:

— Ja nawet wolę, że ty, Hanusiu, nie masz parcha...

Gdy się już mieli rozstać, Romek wyrzekł nieśmiało:

— Słuchaj, ty nikomu nie opowiadaj, żeśmy na ten bez chodzili.

— Nie będę opowiadać. A ty nie będziesz już śpiewał: „Żydóweczka Chajka” albo „Żydóweczko chodź na bez”?

Romek przez chwilę się namyślał:

— Jak będę sam, to nigdy, tylko jak będę z kolegami, to tak trochę... dla przyzwoitości...

— Miły Boże! — krzyknęła oburzona Hanusia. — Dla przyzwoitości będziesz się nadal znęcać nade mną?!

— No więc... jeśli koniecznie chcesz... wcale nie będę śpiewał...

Na pożegnanie Hanusia wyciągnęła do niego rękę, zupełnie jak dorosła panna, i powiedziała:

— Dziękuję ci za kwiaty.

— Nie ma za co — odpowiedział Romek, zdjął kaszkiecik i bardzo grzecznie się uklonił.

Hanusia aż się zdziwiła, że taki łobuz potrafi się tak elegancko uklonić.

Romek dotrzymał obietnicy i nie śpiewał już więcej swoich niemiłych piosenek. Kiedy był sam, klaniał się nawet Hanusi, lecz kiedy szedł z kolegami, odwracał głowę i udawał, że jej nie widzi...

W miesiąc później dowiedziała się Hanusia, że rodzice razem z nią wyjeżdżają na stałe do Londynu.

Trochę się cieszyła z podróży, lecz więcej się martwiła, że na zawsze musi opuścić rodzinne miasteczko.

Sama nie wiedząc dlaczego, postanowiła, że Romek musi się dowiedzieć o jej wyjeździe.

W dwa dni później, wracając z pensji, spotkała go idącego z kolegami.

Przechodząc koło niego, powiedziała bardzo głośno do towarzyszącej jej koleżanki:

— Wiesz, Róziu, ja na zawsze wyjeżdżam do Londynu.

Rózia otworzyła szeroko oczy, bo przecież od dwóch dni tylko o tym ze sobą rozmawiały.

Romek widocznie usłyszał, bo zaczął patrzeć na Hanusię, czego nigdy, będąc w towarzystwie kolegów, nie robił.

Hanusia i Rózia poszły dalej, aż tu nagle usłyszały, że ktoś biegnie za nimi. Odwróciły się i widzą, że to leci Romek.

Przystają i czekają... A z drugiej strony koledzy Romka także zatrzymali się i patrzą.

A on tak biegł pod krzyżowym ogniem ciekawych i drwiących spojrzeń swoich kolegów i Rózi, aż zatrzymał się zadyszany przed Hanusią i Rózią.

— No i co? — zapytała zdziwiona Rózia.

Romek jeszcze przez chwilę stał tak, milcząc, a potem szepnął:

— Nic... nic... — odwrócił się i odszedł.

— To jakiś wariat — zdecydowała ze śmiechem Rózia, lecz spojrzawszy na koleżankę, przestała się śmiać i zapytała:

— Co tobie jest, Hanusiu?

Hanusia jest teraz dorosłą, zamężną i nawet dość zadowoloną ze swego losu kobietą.

Dlaczegoż więc teraz, kiedy w ogródku jej willi pod Londynem zakwitną bzy, ma łzy w oczach i w uszach jej brzęczy, niby złocisty owad, to krótkie słowo... nic... nic...?

A może jednak to nie było „nic”, a coś, co zawiędło i umarło przedwcześnie, jak owe nierozkwitłe bzy, które rwała razem z Romkiem w wiosennym ogrodzie pana Kobialki?

JOSELE — BRAT NIEDŹWIEDZIA

W naszym miasteczku w wieczór purymowy⁵⁴ starsi chłopcy z chederu i młodszy robotnicy oraz rzemieślnicy przebierali się i chodząc po zamożniejszych żydowskich domach, urządzali widowiska, przeważnie biblijnej treści.

Czasami odgrywali różne scenki humorystyczne, ułożone przez nich samych lub nieznanymi domorosłymi dramaturgów.

Role kobiece odgrywali również chłopcy, przystrojeni w suknie i kapelusze, skradzione lub wyżebrane u siostr i matek, przy czym każdy taki chłopiec miał w ręku papierowy wachlarz lub parasolkę, którą w patetycznych momentach wymachiwał jak woźnica bitem.

Poważną rolę w tych wszystkich widowiskach odgrywał niedźwiedź, chłopiec ubrany w wywrócony kozuch i prowadzony na łańcuchu przez Cygana.

Zdawałoby się, że niemy niedźwiadek ma najniewdzięczniejszą rolę. Było zaś wprost przeciwnie: sprawdzało się tutaj powiedzenie, że „dla dobrego aktora nie ma złej roli”.

Zaiste Abram, syn tragarza Szmula, był, jeśli się tak wyrazić można, „genialnym niedźwiedziem”. Pomruk jego, gdy karał przestępców, był taki groźny, że mrowie przechodziło słuchaczy, a gdy oblizywał językiem rany niewinnej ofiary, mruczał tak łagodnie i kojąco, jak matka śpiewająca swemu dziecku kołysankę. A kiedy pokazywał sztuczki, pomrukiwał tak wdzięcznie i figlarnie, że pozazdrościć by mu mogła niejedna teatralna trzpiotka.

⁵⁴*Purym* a. *Purim* (hebr.: Losy) — Święto Losów, radosne święto żydowskie, upamiętniające cudowne ocalenie Żydów, których Haman, minister na dworze perskiego króla, postanowił zgładzić; obchodzone 14 dnia miesiąca adar, tj. zwykle na przełomie lutego i marca; świętu towarzyszą tańce, maskarady i zabawy dla dzieci. [przypis edytorski]

W naszym miasteczku nie było teatru lub kina, toteż nawet dorośli z przyjemnością przypatrywali się purymowym widowiskom, a cóż dopiero mówić o dzieciach.

Po purymowej kolacji stawała zwykle w progu jadalni kucharka Chana i mówiła:

— Proszę pani, przysli purymspylers⁵⁵ i proszą, aby ich wpuścić.

Babka, aby podroczyć się z dziećmi, pytała z udanym wahaniem dziadka:

— Jak myślisz, Natanie, wpuścić tych łobuzów?

— Babciu kochana, złota! — rozlegały się błagalne nasze głosy, a dziadek, również dla żartu, namyślał się niby przez chwilę, nim odpowiedział:

— No, cóż zrobić... niech ich Chana wpuści...

Odsuwano pośpiesznie stół, by utworzyć scenę dla aktorów. Dzieci, rodzice i dwaj żołnierze z koszar, zaproszeni według dawnego zwyczaju na świąteczną kolację, zasiadali dokoła, a we drzwiach stała służba oraz kilku biedniejszych sąsiadów i sąsiadek, do których nie zachodzili purymowi aktorzy.

Zaczynało się przedstawienie. My, dzieci, wstępowałyśmy nagle w krainę cudów i dziwów wszelakich. Duszę naszą ogarniała błogość słoneczna i błękitne zachwycenie. Jawą stawała się nagle legenda biblijna i bajka.

Nigdy już potem w prawdziwym teatrze nie śmieliśmy się tak szczerze, nie cierpieliśmy tak boleśnie, nie oburzaliśmy się tak na nędzników i nie triumfowaliśmy tak radośnie z bohaterami, jak na owych widowiskach purymowych.

Lecz nie tylko my, dzieci, ale i dorośli bawili się lub byli wzruszeni, choć dla przyzwyczajenia starali się być od nas powściągliwsi.

I oto pewnego razu, na początku przedstawienia, kiedy umierająca z pragnienia Hagar⁵⁶ idzie przez pustynię, niosąc na ręku małego Izmaela, rozległ się w sieni domu płacz i taki krzyk, jak gdyby kogoś mordowano.

— Co to może być! Niech Chana idzie zobaczyć — rzekła zaniepokojona babka.

Chana poszła i za chwilę wróciła z gorzko płaczącym dziesięcioletnim chłopcem.

— Mnie tutaj nie chcą wpuścić, a ja jestem Josele... Josele, brat niedźwiedzia.

Wszyscy zaczęli się śmiać, tylko dziadek powiedział z udaną powagą:

— Jeśli tak jest, to przysługuje ci prawo wstępu. Siadaj sobie, Joslu, bracie niedźwiedzia.

I przedstawienie potoczyło się swoim trybem.

I od tego czasu chłopcy z chederu, a później całe miasteczko nazywało tego chłopca: „Josele, brat Niedźwiedzia”.

Zdawałoby się, że ten przydomek z czasem zostanie zapomniany, lecz dalsze dzieje tych chłopców tak się ułożyły, że Josele na całe życie pozostał bratem niedźwiedzia.

W dwa lata później Abramem (niedźwiedziem) zaopiekował się pewien student, który przyjechał do rodzinnego miasteczka na wakacje. Zaczął go uczyć, potem wystarał się dla wyjątkowo zdolnego chłopca o jakies stypendium i Abram wstąpił zrazu do gimnazjum, a później, skończywszy sześć klas, do szkoły dramatycznej w Kijowie.

Raz do roku przyjeżdżał do rodzinnego miasteczka i występował wtedy w dużej sali przy restauracji Cementa jako deklamator i monologista, a ludzie z naszego miasteczka wypełniali szczerze tę salę, podziwiając i oklaskując byłego purymowego aktora.

Josele, który już wówczas zaawansował na czeladnika krawieckiego, chodził jak nieprzytomny. Szczęśliwy, upojony powodzeniem brata, o nim tylko mówił i myślał.

W dzień pracował u majstra, a w nocy czyścił, przerabiał i nicował⁵⁷ ubrania brata, „bo przecież wielki artysta musi być zawsze elegancko ubrany”. A że miłość cudów dokazać

⁵⁵purymspylers — purymowi aktorzy. [przypis redakcyjny]

⁵⁶Hagar — w biblijnej *Księdze Rodzaju* (Rdz 16; 21) egipska niewolnica Sary, żony Abrahama. W zastępstwie bezpłodnej Sary urodziła Abrahamowi syna Izmaela. Po kilkunastu latach Sara urodziła syna Izaaka i z powodu niewłaściwego zachowania Izmaela nakłoniła męża do wygnania Hagar i Izmaela na pustynię. Od śmierci z pragnienia uratował ich anioł, wskazując Hagar studnię. *Hagar idzie przez pustynię, niosąc na ręku małego Izmaela*: tak niekiedy rozumiano Rdz 21, 14: „I wstał Abraham rano i wzięwszy chleb i łagiew wody, dał Hagarze, kładąc na barki jej, a także dziecię, i odprawił ją” (tłum. Izaak Cylkow), mimo że Izmael wg tekstu był starszy od Izaaka o 14 lat, więc co najmniej tyle miał w momencie wygnania. [przypis edytorski]

⁵⁷nicować — przerabiać część garderoby, przewracając tkaninę na odwrotną stronę (na nice). [przypis edytorski]

potrafi, Josele, ten małomiasteczkowy krawczyk, który frak widział tylko w żurnalu mój męskich, uszył swemu bratu nieposzlakowanego kroju i fasonu garnitur frakowy.

Tak przynajmniej utrzymywał jego brat, Abram, bo ludzie w miasteczku nie mogli o tym sądzić.

Materiał kupił Josele w sklepie pana Dawidziona za swoje ciężko zapracowane pieniądze.

Dwa lata później ów Abram Słowik, który zdążył już się przeobrazić w Anatola Sollowiowa, został na stałe zaangażowany do rosyjskiego teatru w Kijowie.

I tak dziwnie zrzucił przypadek, że ów dawny niedźwiedź z widowisk purymowych, debiutował w sztuce Czechowa⁵⁸ pt. *Niedźwiedź*.

Jak każdy zresztą artysta, nie omieszkął przysłać do rodzinnego miasteczka wycinków z gazet kijowskich z wielce pochlebnymi wzmiankami o swoim debiucie.

Szczęście Josła doszło wtedy do zenitu. Latał po całym mieście z owymi gazetami i czytał je każdemu, kto chciał i nie chciał słuchać. Miał je zawsze przy sobie, w starym pugilaresie, a w nocy, jak mówiono, kładł je sobie pod poduszkę.

Wówczas odżył w pamięci ludzi dawno zapomniany przydomek i Josele został, tym razem na zawsze, „bratem niedźwiedzia”.

Upłynęło jeszcze kilka lat i Josłowi zaczęto już swatać partie, bo był przecież porządnym chłopcem i zdolnym rzemieślnikiem, a przy pomocy posagu żony mógłby nawet pracować na własną rękę.

Nawet pan Gawron, który zajmował się stręczeniem małżeństw tylko w zamożniejszej sferze kupieckiej, zwrócił uwagę na Josła.

— Dla ciebie, Josele, zrobię wyjątek i wykieruję cię na człowieka! — mówił łaskawie, klepiąc go po ramieniu.

Lecz Josele odpowiedział:

— Dziękuję panu, panie Gawron, za dobre serce, ale ja się nie ożenię.

— Słyszane to rzeczy — krzyknął oburzony Gawron — żeby Żyd został starym kawalerem?! Przecież to jest grzech i obraza boska!

Josele pokornie milczał.

— Dlaczego ty właściwie nie chcesz się żenić? — indagował pan Gawron.

— Ja muszę żyć dla mego brata, wielkiego artysty.

— Każdy człowiek musi żyć przede wszystkim dla siebie samego! — zawyrokował pan Gawron. — I zresztą... co to wszystko znaczy? Przecież sam mówisz, że twój brat jest wielki artysta, więc na jakie lichy ty jesteś jemu potrzebny?

I dopóty ciekawy i zawzięty pan Gawron mordował biednego krawczyka, aż nie dostał z niego całej prawdy.

— Widzi pan, mój brat, jak każdy wielki artysta, nie umie się liczyć z groszem. On dużo zarabia, ale jeszcze więcej wydaje i nawet ma długi... więc ja...

— Żaden porządny człowiek nie powinien wydawać więcej, niżeli zarabia — przerwał Josłowi pan Gawron.

— Tak, to jest zupełnie słuszne, dla pana, dla mnie i dla innych ludzi z naszego miasteczka, ale nie dla mojego brata.

— No... dlaczego on ma być wyjątkiem?

— No, on jest wyjątkowy człowiek, więc dla niego muszą być wyjątkowe prawa — odpowiedział Josele. — Na przykład... chociaż po co ja to panu tłumaczę... pan i tak nie zrozumie... Na przykład jak pan albo ja pokochamy jakąś kobietę, to my byśmy chcieli, żeby ona była skromna i niewymagająca, i dobra gospodyni, i żebyśmy mieli z niej pożytek. A mój brat, jak pokocha kobietę, to on chce, żeby ona była jak królowa, żeby ona nosiła jedwabne suknie i żeby pachniała jak kwiat, i żeby chodziła po kwiatkach... po czerwonych różach i innych... nawet nie wiem, jak się one nazywają. I wówczas on się nie liczy, jak my, z każdym groszem i nie pyta się, jak my, samego siebie: „Ile ja mam i ile mogę

⁵⁸ *Czechow, Anton* (1860–1904) — rosyjski nowelista i dramaturg, mistrz małych form literackich, klasyk literatury rosyjskiej; autor m.in. jednoaktowej komedii *Niedźwiedź*. (1888). [przypis edytorski]

wydać?”. On jej kupuje ten jedwab i te perfumy, i te kwiaty. Albo na przykład, on musiał wyjechać nad fiordy. Czy pan wie panie Gawron, co to są fiordy?

— Dlaczego nie mam wiedzieć? Fordy to są takie automobile⁵⁹...

— Fiordy, a nie ford, panie Gawron. I ja przedtem nie wiedziałem, ale teraz już wiem, bo mi brat napisał. To są morskie zatoki w kraju, który się nazywa Norwegia. Nad nimi wznoszą się ogromne skały, na których jest śnieg, i jak słońce wschodzi lub zachodzi, to ten śnieg jest zupełnie różowy, a w powietrzu latają wielkie morskie ptaki, które nazywają się...

— Niech one się nazywają, jak chcą! Ja nie mam czasu słuchać takich głupstw! — przerwał pan Gawron. — Powiedz lepiej, dlaczego twój brat musiał jechać do tej Norwegii.

— Bo widzi pan, mój brat miał grać główną rolę w sztuce norweskiego pisarza... zapomniałem, jak się ten pisarz nazywa... Więc on chciał poznać tamten kraj i tamtych ludzi, żeby człowiek, którego on przedstawia, był prawdziwy Norweg, a nie na przykład Żyd albo Polak. On miał, czy też pożyczył pieniądze, lecz brakowało mu kilka setek. Ale ja, Josele, jego brat, miałem. I dzięki temu on mógł pojechać nad te fiordy i on mógł tak zagrać tę rolę, jak pewnie nikt inny przedtem nie zagrał. A gdybym ja miał żonę i dzieci, to, pytam się pana, panie Gawron, czy ja miałbym prawo posłać mu te pieniądze?

— I całe życie myślisz tak harować na brata?

— Ja teraz mało mam, więc mało mogę mu pomagać. Ale ja już sobie postanowiłem, że pojadę do Łodzi, tam się ludzie na mnie poznają, łatwo znajdę współnika z kapitałem i otworzę własny zakład krawiecki. Wtedy mój brat nie będzie miał żadnych kłopotów pieniężnych. Będzie mógł myśleć tylko o tym, żeby grać pięknie, jak najpiękniej w świecie.

— I co komu z tego przyjdzie? — zapytał pan Gawron.

— Jak to: co komu z tego przyjdzie?! Jak mój brat będzie grał, to ludzie będą patrzeć i słuchać, i radować się, i cierpieć, i oni wtedy będą czuli, że mają duszę, nieśmiertelną duszę. Czy pan tego nie rozumie, panie Gawron?

— Nie, nie rozumiem, ale jedno zrozumiałem! Ja ciebie już nie będę swatać, choćbyś mnie o to na kolanach prosił! Po co ja mam unieszczęśliwiać jakąś porządną żydowską dziewczynę? Ja już widzę, że z ciebie nigdy już nie będzie człowiek. Ty na całe życie zostaniesz Josele-brat niedźwiedzia.

I cisnąwszy mu ten przydomek jak najgorszą obelgę, pan Gawron odszedł.

Teatr, Dusza

W czternastym roku, w kilka miesięcy przed wojną światową, w pismach rosyjskich zjawiała się następująca wzmianka:

TRAGICZNY ZGON MŁODEGO UTALENTOWANEGO ARTYSTY

W gabinecie Grand Hotelu znany milioner Sałazkin podejmował z okazji swych imienin wesołą kompanię.

Między zaproszonymi znajdował się ulubieniec naszej publiczności, Anatol Sołowiow. Po sutej libacji Sałazkin zaczął nagle robić artyście ostre wymówki, twierdząc, że Sołowiow korzysta nie tylko z łask miłosnych, ale i z pieniędzy utrzymanki Sałazkina, Lidii Worobiowej.

Kiedy Sałazkin nazwał Sołowiowa sutenerem i parszywym Żydzakiem, artysta uderzył go w twarz. Wówczas Sałazkin wydobyl z kieszeni nieodstępny rewolwer i dwukrotnym wystrzałem zabił go na miejscu.

Sałazkina natychmiast uwięziono.

Tragiczna śmierć utalentowanego artysty wzbudziła itd.

Josele abonował jedną z kijowskich gazet, aby każdego dnia wiedzieć, w jakiej sztuce występuje jego brat i jakie zbiera laury.

⁵⁹automobil (daw.) — samochód. [przypis edytorski]

Na pierwszej stronie dojrzał grubymi czcionkami wydrukowany pseudonim brata i oto dowiedział się nagle, bez przygotowania, że ziemia spod nóg mu się osunęła... że zagasło słońce i świat ogarnęła nieprzenikniona ciemność... że przyszedł koniec... koniec życia...

Josła nie oglądano przez kilka dni. Daremnie dobijano się do izdebki, którą odnajmował od szamesowej. Tylko głuchy jęk, a później błagalny szept, aby dano mu spokój, świadczyły, że Josele jeszcze żyje.

Zrazu nic nie pojmowano, co się stało z Joslem, lecz oto zjawiły się w żargonowych gazetach przedruki z rosyjskich pism. I wówczas ludzie zrozumieli.

Zrozumieli nawet i to, że Josele nie tylko cierpi nad śmiercią brata, ale i wstydzi się, iż ten brat, wielki artysta, zginął w ordynarnej pijackiej awanturze o ladacznicę.

Po kilku dniach Josele wyszedł ze swojej izdebki. W milczeniu wypił kubek kawy przygotowanej przez szamesową i poszedł do warsztatu.

Przez cały tydzień przychodził regularnie, punktualny i pracowity jak dawniej, lecz taki obcy i daleki, taki wyniosłe obojętny, że nikt nie śmiał zbliżyć się do niego ze słowem pociechy.

Po tygodniu Josele zniknął znowu na kilka dni i znowu powrócił do warsztatu, ledwo trzymając się na nogach, bo był zupełnie pijany. Pobił chłopca, zwymyślał majstra i pociął na drobne kawałki rozłożony na stole materiał.

Majster cierpiał tak dość długo, przez wzgląd na dawne zasługi Josła; miał przy tym nadzieję, że Josel się opamięta i poprawi.

Ale Josele nie tylko się nie poprawiał, ale stawał się coraz niemożliwszy. Pracowity, zdolny rzemieślnik przemieniał się stopniowo w nałogowego pijaka i awanturnika.

Toteż majster stracił w końcu cierpliwość i wymówił Joslowi miejsce.

Odtąd Josele zaczął staczać się coraz niżej. Ze schludnego pokoiku u szamesowej, przeprowadził się do jakiejś rudery, gdzie mieszkał kątem, a gdy wyrzucono go stamtąd... nigdzie.

Nocował teraz w sieniach domów, w opuszczonej starej cegielni lub po prostu na ulicy.

Czasami, gdy już mu głód, a zwłaszcza brak wódki, zbytnio dokuczył, wstępował do jakiegoś domu i pytał nieśmiało, czy nie ma dla niego roboty.

Robota się przeważnie znajdowała, bo w każdym domu są łachy do nicowania, czyszczenia, do przerabiania z ojca na syna, ze starszego na młodszego brata.

Lecz ledwo otrzymał pieniądze za swoją robotę, a kiedy jakaś nieostrożna gospodyni dała zaliczkę, to i przed ukończeniem roboty, Josele zniknął.

I znowu zjawiał się na ulicy pijany, ku uciesze gawiedzi i ku oburzeniu statecznych obywateli, bo pijany Żyd jest wstydem nie tylko dla siebie samego, ale i dla całego swego miasteczka.

Biedny Joslu, nieszczęsny „bracie niedźwiedzia”, dlaczego nie umarłeś w tej samej chwili, kiedy rozwiała się twoja legenda o wielkim artyście, który uświadomić miał ludzi, że mają nieśmiertelną duszę?

SULAMITA — NASZA WARIATKA

Wiadomym jest, że każde prawie miasteczko żydowskie ma swego wariata lub wariatkę. Ci wariaci mieszkają nie wiadomo gdzie, żywią się nie wiadomo czym i jakoś mimo wszystko żyją długie lata. Czasem westchnie nad nimi jakaś litościwa dusza, czasem porządny obywatel wytarga za uszy już zbytnio dokuczającego wariatowi łobuziaka, ale nikt naprawdę nie opiekuje się nimi, nikt nie stara się ich umieścić w zakładzie dla obłąkanych. Wszyscy są przekonani, że jest to w porządku, iż wariaci włóczą się po mieście jak bezdomne psy, bo... to Pan Bóg już tak dopuścił, że każde żydowskie miasteczko musi mieć swego wariata lub wariatkę. Wydaje im się niemal, że inaczej by w miasteczku czegoś brakowało...

Na przykład Chaja Rybiarka, powróciwszy od swojej siostry z Kałuszyna, mówiła: „To jest jakieś dziwne miasto, ja tam nie widziałam ani jednego wariata”...

Myśmy w naszym miasteczku byli prawie dumni z naszej wariatki, bo odznaczała się ona wyjątkową urodą. Tak jest, mimo nędzy, brudu i łachmanów, pokrywających jej ciało, była nasza Szelames⁶⁰ tak wspaniale piękna, jak zapewne ongi⁶¹ nałożnica królewska — Sulamita.

Szelames była zawsze przystrojona w jakieś, na śmietnikach pozbierane, na wpół potłuczone sznury pereł i paciorków, spłowiałe, podarte wstążki i stare, rozstrzępione kwiaty od kapeluszy. Te żalosalne fatalaszki, które potrafiłyby ośmieszyć i zeszpecić każdą inną kobietę, przystrajały ją naprawdę, nadawały jej jakiś wdzięk dziwaczny, lecz niezaprzeczony. Nawet najprostszy ludzie dostrzegali i odczuwali królewską urodę tej kobiety.

Wiejska gospodyni, sprzedająca owoce na rynku, powiedziała do mnie kiedyś: „Wy tutaj macie naprawdę ładną wariatkę, nie tak jak w Lasku, gdzie strach spojrzeć na ich »głupia«. Ja jej nawet dałam dwa jabłka”. Jeżeli teraz w ostatecznym swoim poniżeniu Sulamita była jeszcze piękna, jakżeż cudowna być musiała w osiemnastym roku życia ślicznie ubrana jedynaczka bogatego kupca Kuliszera. I właśnie ta jej nadzwyczajna uroda stała się dla niej źródłem nieszczęścia i klęski. Bo czyżby inaczej na Żydóweczkę z małego miasteczka zwrócił uwagę młody, z dobrej rodziny szlacheckiej pochodzący inżynier, odbywający jako porucznik artylerii swą służbę wojskową? Gdyby była przeciętnie przystojna, może by nawet pod wpływem małomiasteczkowej nudy zawiązał jakiś flirt z „apetyczną Żydóweczką”, nie przywiązując do tego romansu wielkiego znaczenia. Ale Sulamita była tak nieposzlakowana, tak dostojnie piękna, że potrafiła wzbudzić prawdziwą poważną miłość.

Spotkali się przypadkowo w ogrodzie pana Kobiałki. Porucznik kupował kwiaty dla pani sędziny, do której zaproszony był na obiad, Sulamita dla siebie, bo nie potrafiła żyć bez kwiatów. Nie wiem, co powiedział młody porucznik do Sulamity i co mu ona na to odrzekła. Może patrzyli tylko w milczeniu na siebie z uśmiechem na ustach i radością w duszy, lecz najprawdopodobniej serca ich ogarnęło bolesne i trwożne przecucie, bo takie najczęściej bywają narodziny wielkiej miłości. Od tego czasu pan Kobiałka pozyskał dwoje stałych i codziennych klientów. Była przecież w tym ogrodzie taka przytulna, darnią obrosła ławeczka, stokroć piękniejsza od buduarowej⁶² kanapki, a nad tą ławeczką rosła ogromna, kwitnąca lipa...

Spadały płatki okwitającej lipy na głowy kochanków jak wonne lzy szczęścia i były w ogrodzie pana Kobiałki liliowe heliotropy⁶³, o woni niebezpiecznej i zdradzieckiej, oszalamiającej głowy jak najmocniejsze wino.

Szpalery kwitnących róż asystowały kochankom uroczyste i milczące jak strojne niewolnice ze wschodniej bajki.

Na tej ławeczce pod lipą czytał młody porucznik Sulamicie ze starej Biblii księdza Wujka⁶⁴ *Szır Haszylim, Pieśń nad Pieśniami*⁶⁵, którą królewski kochanek śpiewał przed tysiącami lat tamtej swojej Sulamicie.

A Sulamicie wydawało się, że to on, jej ukochany, stworzył dla niej tę Pieśń Miłości. A może wtedy, jak później w ostatecznym obłędzie, zatraciła się już dla niej granica między prawdą i urojeniem, rzeczywistością i złudą i wydawało jej się, że ona jest tamtą Sulamitą sprzed tysięcy lat, a on poetą i królem.

Pewnego dnia porucznik oświadczył Sulamicie:

— Pułk nasz niedługo zostanie przeniesiony do Lublina. Kiedy dowiedziałem się o tym, po raz pierwszy uświadomiłem sobie, że nie mogę tam być, gdzie ciebie nie będzie.

Żebrak, Uroda, Strój

Spotkanie, Miłość

Miłość tragiczna

⁶⁰*Szelames* — żargonowe imię Sulamity. [przypis redakcyjny]

⁶¹*ongi* (daw.) — dawniej, niegdyś. [przypis edytorski]

⁶²*buduar* — pokój pani domu przeznaczony do odpoczynku. [przypis edytorski]

⁶³*heliotrop* — roślina wieloletnia o intensywnie pachnących kwiatach. [przypis edytorski]

⁶⁴*Wujek, Jakub* (1541–1597) — polski duchowny katolicki, jezuita, pisarz religijny, autor tłumaczenia *Biblii* (1599), które aż do opracowania *Biblii Tysiąclecia* (1965) pełniło rolę podstawowego polskiego przekładu katolickiego. [przypis edytorski]

⁶⁵*Pieśń nad Pieśniami* — hebrajski poemat miłosny z IV–III w. p.n.e., składający się z pieśni oblubienicy, oblubienicy i chóru, zaliczany do ksiąg Starego Testamentu; w tradycji żydowskiej i chrześcijańskiej interpretowany na ogół alegorycznie i przypisywany Salomonowi, słynnemu z mądrości królowi Izraela, żyjącemu w X w. p.n.e. [przypis edytorski]

Ty musisz być razem ze mną do końca życia. Musimy się więc pobrać, innej rady na to nie ma.

Porucznik powiedział to spokojnie, jak się mówi rzeczy proste i zupełnie naturalne, a Sulamita zadrżała, budząc się z cudownego snu, który śniła od dnia, kiedy się poznali.

— Przecież to zupełnie niemożliwe! — wyrzekła z głębi zrozpaczonego serca.

— Dlaczego? — zapytał ze zdziwieniem, niemal z gniewem.

Kochał ją, nie mógł żyć bez niej, więc brał ją sobie za żonę, ale mimo tego miał pewne na wpeł świadome uczucie, że ją podnosi do siebie, że robi jej niejako zaszczyt, a tu tymczasem ona... odtrąca go od siebie.

— Mój ojciec... — wyłkała — mój ojciec nigdy... nigdy...

Porucznik miał kilku kolegów ze szkoły pochodzących z najbardziej zasymilowanych rodzin żydowskich, z którymi dotąd obcował. Nie rozumiał jednak, że między nim i tymi kolegami istnieją tylko pewne rasowe, łatwo zacierające się przy bliższym współżyciu, różnice, zaś od ojca Sulamity dzieli go przepaść.

— Dzieckiem jesteś, moja Alito — tak ją nazywał w skróceniu — przecież ja znam Żydów i wiem, jak przemówić do twego ojca. Powiem przede wszystkim, że nie idzie mi o twój posąg, przeciwnie, grosza od niego nie wezmę, bo jestem człowiekiem niebiednym i potrafię sam utrzymać swą żonę.

W duszy zaś mówił sobie: „Jeżeli będę miał pewne trudności, to nie z tym starym Żydem, lecz z moim ojcem, a zwłaszcza matką. No, ale to się jakoś załatwi”.

— Słuchaj, ty nie znasz mego ojca... — błagała Sulamita. — On nigdy...

— Twego ojca oczywiście nie znam — przerwał jej porucznik — ale gdy przyjdę do niego, poznamy się nawzajem i jakoś się dogadamy.

— Nie przychodź do nas! Ja chyba umrę ze strachu i wstydu!

— Wstydzisz się naszej miłości?

— O nie, nie, przysięgam... ale, widzisz, ty nie rozumiesz!

— Owszem, rozumiem dobrze, że twój ojciec wolałby, abyś wyszła za Żyda, tak samo jak moja rodzina wolałaby, żebym się ożenił choćby ze służącą lub prostą chłopką, byle nie z Żydówką. Ale trudno. Jedni i drudzy muszą się z tym pogodzić i ustąpić.

Sulamita zamilkła, zrozumiała bowiem, że porucznik nie pojmie nigdy tragizmu położenia. Zresztą tała się w jej sercu jakaś nierozumna, szaleńcza wprost nadzieja, że dla takiego człowieka jak jej ukochany nie ma rzeczy niemożliwych, że nikt na świecie, nawet jej ojciec, oprzeć mu się nie zdoła.

Nazajutrz po południu, w dzień sobotni, gdy pan Kulischer ze swatem Gawronem, popijając herbatę, gawędzili o interesach, o polityce i zwłaszcza o partiach dla Sulamity, we drzwiach jadalni zjawiała się służąca.

— Proszę pana, jakiś oficer chce z panem pomówić.

— Nie lubię w sobotę mówić o interesach — mruknął pan Kulischer, lecz że był człowiekiem uprzejmym, odpowiedział: — Niech Rojza poprosi tutaj.

Kiedy porucznik przywitał się i wymienił nazwisko, pan Kulischer powiedział grzecznie:

— Proszę, niech pan spocznie. Czym mogę szanownemu panu służyć?

Porucznik jednak nie usiadł, jeszcze raz uklonił się po wojskowemu i, jak rzecz najprostszą w świecie, zakomunikował:

— Przychodzę do pana, panie Kulischer, by poprosić o rękę pańskiej córki, panny Sulamity.

Pan Kulischer gwałtownie poczerwieniał, dotknął swego kołnierzyka, jakby mu tchu nagle zabrakło, lecz pohamował się i odpowiedział prawie spokojnie:

— Panie oficerze, ja jestem starszy człowiek i uczciwy kupiec leśny. Żaden żyd ani katolik nie ośmielił się dotąd drwić ze mnie i w dodatku w moim własnym domu!

— Nigdy bym nie ośmielił się drwić w taki sposób ze starszego człowieka i w dodatku z ojca kobiety, którą kocham. Ja mówię zupełnie poważnie: kocham pannę Sulamitę i ona mnie kocha. Jestem młody, zdrowy, mam przed sobą przyszłość i nawet obecnie żona nie zazna ze mną biedy... Jeszcze raz tedy powtarzam moją prośbę.

Pan Gawron, z rzadką u niego dyskrecją, chciał wstać i odejść, lecz pan Kulischer przytrzymał go za rękę.

— Zostań pan! — rozkazał. — Pan musi być tutaj jako świadek przy wyjaśnieniu tego nieporozumienia. Panu chodzi pewnie o jakąś inną żydowską dziewczynę, noszącą to

samo imię, bo moja córka nigdy... nigdy... Ja znam dobrze moje uczciwe dziecko, moją kochaną jedynaczkę. Ona przed ojcem myśli jednej nie ukryje, a nie tylko takiej sprawy.

— Rojzo! — zawołał. — Niech panna Sulamita zaraz tu przyjdzie!

Pan Gawron opowiadał później, że w żaden sposób nie mógłby określić, jak długo, w zupełnym milczeniu, czekano na Sulamitę. Może to było kilka minut, a może cała godzina?

Nareszcie zjawiała się i stanęła, drżąc na całym ciele, w progu jadalni.

— Szelames — z żydowska nazwał ją pan Kulischer, choć zwykle mówił do niej „Sulamito” — powiedz temu panu, że on się omylił i że ty go wcale nie znasz. Widzi pan, ona milczy... ona się dziwi... ona pana wcale nie zna... — mówił gorączkowo pan Kulischer.

Lecz Sulamita cicho odpowiedziała:

— Ja nie mogę inaczej ojciec... ja męczyłam się... broniłam się sama przed sobą. W długie przeplakane noce chciałam zdusić, zamordować swą miłość, ale ona nie chciała ode mnie odejść. I nareszcie zrozumiałam, że nie ma dla mnie życia bez tego oto człowieka, więc miej nade mną litość ojciec... „*Hob rachmunes, tate*” — powtórzyła, jakby ludząc się, że żydowskie słowa łatwiej dotrą do jego serca.

— Słuchaj, Szelames — powiedział po chwili Kulischer, z trudnością wydobywając z krtani zduszone, chrapliwe słowa. — Nie będę dociekał, czym ja zgrzeszyłem przed Panem Bogiem, że mi pozwolił doczekać takiej chwili, że mi przedtem nie pozwolił umrzeć; niezbadane są wyroki Jego... Jedno tylko powiem. Ja ci przebaczę te przekłete, szalone słowa, które wypowiedziałaś przed chwilą. I pan Gawron musi mi przysiąc, że nie tylko nikomu nie powtórzy, ale sam postara się zapomnieć to, o czym słyszał. Ja ci przebaczę przez wzgląd na twoją dobrą matkę, której Pan Bóg nie pozwolił doczekać takiej chwili, i także dlatego, że jedną cię mam na świecie. Ale ty w zamian musisz powiedzieć temu panu, teraz, w tej chwili, takie słowa: „Ja pana bardzo przepraszam, ale ja zwariowałam i teraz odzyskałam rozum i wiem, jak powinna postąpić uczciwa żydowska dziewczyna. Niech pan przebaczy i odejdzie”. Ja mógłbym powiedzieć panu, panie oficerze, że ona ma wszystkiego osiemnaście lat, że ja mam nad nią jeszcze moją ojcowską władzę. Ja mógłbym ją stąd wywieźć i tak ukryć, że śladu by po niej nie pozostało, ale ja tego nie zrobię. A dlaczego ja tego nie zrobię? Bo ja chcę mieć moją dawną dobrą córkę, uczciwą żydowską dziewczynę, a takiej, jak ona teraz jest, ja nie chcę, ja wolę na zawsze stracić takie dziecko! I dlatego właśnie ona sama musi postanowić, ona sama musi wybrać między mną i panem.

— Ojciec, ja takich słów nie mogę mu powiedzieć, bo to by było kłamstwo. To nie jest obłąd, to jest moja pierwsza i ostatnia miłość, miłość na życie lub śmierć.

Wówczas pan Kulischer powstał, wskazał ręką na drzwi i nie podnosząc głosu, powiedział:

— Jeśli tak, to idź z nim w świat! Moja córka Szelames w tej chwili umarła, a ty, obca kobieto, nie przestąpisz już nigdy progu tego domu.

I wszyscy obecni zrozumieli, że padły tu nieodwołalne słowa — twarde, ostateczny wyrok.

Porucznik wziął pod rękę nieprzytomną prawie Sulamitę i wyprowadził, wyniósł niemal z ojcowskiego domu — na zawsze. Wówczas pan Kulischer zwrócił się do pana Gawrona z dziwnym spokojem:

— Panie Gawron, czy zechce mi pan wyrządzić przysługę? Zbierz pan na jutro rano minię⁶⁶.

— Minię... dlaczego minię? — wybełkotał przestraszony pan Gawron.

— Nie udawaj pan, panie Gawron, przecież dobrze wiesz, że u nas po umarłych mówi się minię⁶⁷ i odprawia się szywę (żałobę). I to także dobrze wiesz, że u nas, nabożnych Żydów, syn wychrzta lub córka wychrzcianka powinni być uznani za umarłych i że ojciec ma prawo, a nawet obowiązek, odprawić po nich żałobne modły. Więc idź pan, panie

⁶⁶ *minia*, właśc. *minjan* (hebr.: liczba) — zgromadzenie złożone z dziesięciu dorosłych Żydów, niezbędne do niektórych ceremonii religijnych, w tym do odmówienia modlitwy kadisz, np. żałobnej. [przypis redakcyjny]

⁶⁷ *po umarłych mówi się minię* — przejęzyczenie bohatera lub autorskie: za zmarłych, wspólnie z *minjanem* (grupą dorosłych Żydów), odmawia się kadisz, jedną z najważniejszych modlitw w liturgii żydowskiej. [przypis edytorski]

Gawron, zbierz dziewięciu Żydów i powiedz im, że Dawid Kulischer odprawia jutro modły po swojej umarłej córce.

Pan Kulischer istotnie odprawił po swojej, dla niego umarłej, córce żałobne nabożeństwo, a później rozeszła się w miasteczku wiadomość, że likwiduje on swoje interesy, sprzedaje swój dom, las i tartak i wyjeżdża do Palestyny.

Pogłoska ta, której zrazu nie dano wiary, okazała się prawdą. Przyjechali jacyś ludzie z Warszawy, zakupili las i tartak. Dom swój pan Kulischer zaofiarował na jeszywę⁶⁸, która dotąd mieściła się w starej, na wpół rozwalonej ruderze.

Pan Kulischer nie pożegnał się z nikim. Na kolej odprowadził go jedynie pan Gawron. Od owej soboty pan Gawron chodził bowiem za nim jak cień, zaniedbując nawet swe interesy.

Temu to panu Gawronowi obiecał pan Kulischer napisać po przyjeździe do Palestyny, ale nie napisał ani do niego, ani do nikogo innego, po prostu utonął jak kamień w wodzie.

W dwa lata później, gdy o panu Kulischerze zaczęli już zapominać ludzie, szła wolno ulicą, gdzie znajdował się jego dawny dom — obecnie jeszywa — młoda kobieta w żałobie.

Kilka osób poznało Sulamitę, ale nikt nie chciał, czy też nie śmiał zbliżyć się do „wchrzcianki”.

Kiedy młoda kobieta doszła już prawie do swego domu, spotkała na drodze szewcową, panią Rudzką. Rezolutna pani Rudzka zagała od Sulamity.

— Pani pewnie do domu, do ojca?

— Tak jest — odpowiedziała cicho Sulamita. — Sama jestem teraz na świecie, więc może zlituje się i przebaczy.

— Pani droga — wyrzekła ze współczuciem szewcowa — nie ma pani po co tam chodzić. Pan Kulischer wyjechał do żydowskiego kraju i nikt nie wie, co się z nim stało, a w jego domu jest teraz jakaś żydowska szkoła, czy też bożnica.

— Więc nie mam już nikogo na świecie! — powiedziała, a raczej pomyślała głośno Sulamita.

— A szanowny małżonek... to pani po nim nosi żałobę?

— Po nim i po małym moim Kaziu, umarli obaj w jednym miesiącu.

— Jezusie miłosierny — zaczęła zawodzić pani Rudzka — jakie to na świecie bywają nieszczęścia! I co pani ze sobą teraz pocnie...?

— Nie wiem — odpowiedziała cicho Sulamita.

— Ale nie może przecież pani zostać tak na ulicy... chwieje się pani na nogach... lada chwila pani upadnie — frasowała⁶⁹ się pocziwa kumoszka. — Ja pani dam kawy albo dobrej mocnej herbaty z arakiem⁷⁰ i pomyślimy, co dalej robić.

Pani Rudzka zabrała Sulamitę do siebie, ale już przy owej herbacie młoda kobieta zaczęła bredzić i opowiadać niestworzone rzeczy. Czy przyjechała już obłąkana, czy dobił ją ostatni cios: pusty dom rodzicielski i wiadomość, że ojciec przepadł bez śladu — tego potem nikt nie mógł ustalić.

Miała zresztą jeszcze tego pierwszego dnia pewne przebłyski świadomości i pani Rudzka dowiedziała się, że Sulamita nie była nigdy legalną żoną porucznika.

— On koniecznie chciał ożenić się ze mną — opowiadała — ale ja nie chciałam, wolałam z nim żyć na wiarę, bo myślałam, że ojciec prędej mi przebaczy, gdy się dowie, że nie zmieniłam religii i nie brałam ślubu w kościele. Pisałam do niego, ale nigdy nie dostałam odpowiedzi.

— Boże kochany! — wdychała pani Rudzka. — Gdyby pani choć wyszła jak się należy za mąż, to może przynajmniej jego rodzina zajęłaby się panią; a tak, co pani pocnie?

⁶⁸jesziwa — żydowska szkoła wyższa wyłącznie dla chłopców, gdzie studiowało się *Torę* i *Talmud*. [przypis edytorski]

⁶⁹frasować się (daw.) — smuć się, martwić się. [przypis edytorski]

⁷⁰arak — aromatyczny napój alkoholowy o smaku anyżowym. [przypis edytorski]

— Mnie niczego nie potrzeba, bo ja już umarłam — odpowiedziała tajemniczo Sulamita.

I wtedy pani Rudzka po raz pierwszy spostrzegła się, że Sulamicie „zepsuło się coś w głowie”. Następnego dnia zrobiło się jeszcze gorzej... Jak gdyby zaginęły ostatnie przebliski rzeczywistości i Sulamita wciąż śpiewała lub opowiadała jakieś historie bez ładu i składu, bez początku i końca...

Rezolutna szewcowa zwróciła się do pana Dancigera, który przewodził w gminie żydowskiej, ale ten odpowiedział jej, że żydzi nie mają obowiązku, ani nawet prawa zajmować się chrześcijanką.

Pani Rudzka opowiedziała wówczas, że Sulamita pozostała żydówką i że w jej woreczku znalazła legitymację na imię Szelames Kulisz, panny, wyznania mojżeszowego.

Zakłopotali się wówczas wielce radni gminy, co począć z tą kobietą.

— Z jednej strony — mówili — ona popełniła wielki grzech i formalnie tylko jest jeszcze żydówką, ale z drugiej strony, czyż można zostawić bez wszelkiej opieki obłąkaną córkę nabożnego Żyda, który w dodatku ofiarował swój dom na jesywę?

Jęcząc tedy i wzdychając, uradzili jednak, że umieszczą ją na koszt gminy w zakładzie dla obłąkanych w Łodzi.

Lecz po kilku dniach Sulamita uciekła i zjawiała się znowu w naszym miasteczku. Machnęli tedy na nią ręką. „Jeśli ona woli tak... to po cóż gmina ma płacić za nią takie duże pieniądze?” — mówili. Felczer pan Lewkowicz napisał jednak do znajomych w Palestynie, prosząc o odszukanie Kuliszera i o zawiadomienie go o losie córki. Po kilku miesiącach przyszła odpowiedź, że pomimo usilnych poszukiwań nie można było go odnaleźć.

Widocznie pan Kulisz nie pojechał do Palestyny, lecz zmylił za sobą wszelkie ślady, pragnąc, aby przeszłość jego raz na zawsze umarła. Zniknął wprost jak kamień w wodzie i jak ten kamień leży gdzieś tam na dnie — na dnie swojej rozpacz.

Zapomniano wkrótce o przeszłości Sulamity, zapomniano o tym, że była ongi jedynaczką zamożnego i szanowanego ogólnie człowieka i nawet o tym zapomniano, że popełniła kiedyś „wielki grzech”. Stała się na zawsze włóczęgą bez imienia i rodu — Naszą Wariatką.

Łaziła tedy po mieście, dziwacznie przystrojona w żalosne ozdoby i fatalaszki, a na rękę miała zawsze kukłę z brudnych łachmanów, niby swoje dziecko, któremu śpiewała piosenki w polskim lub żydowskim języku.

Razu jednego któryś z włóczących się stale za nią uliczników wyrwał jej tę kukłę i rzucił do sadzawki.

Sulamita z okrzykiem rozpacz wskoczyła do sadzawki, by ratować swe tonące dziecko. Wyciągnął ją z wody przechodzący tędy tragarz Uszer, a kobiety sporządziły naprędce z łachmanów inną kukłę i wetknęły jej w ręce, mówiąc: „Widzisz, twoje dziecko uratowane”. Sulamita odpowiedziała: „Dziękuję wam dobrzy ludzie za to, żeście uratowali życie mnie i mojemu dziecku”.

Zdziwili się wszyscy, że wariatka tak grzecznie i rozumnie potrafi przemówić. Nie zrozumieli widocznie ludzie, że te właśnie słowa najbardziej świadczyły o jej szaleństwie, bo inaczej czyż dziękowałyby tym, którzy odebrali jej jedyny, możliwy dla niej dar — łaskę śmierci.

JAK DWOJRA PIERZARKA Z PANEM BOGIEM ROZMAWIAŁA

Być uważanym za biedaka w bogatym kraju i w zamożnej sferze jest bardzo łatwo.

W Ameryce, oczywiście, w tej dawnej Ameryce, gdzie każdy z nas miał jakiegoś wujaszka lub kuzyna milionera, mówiono:

— To biedny człowiek, on nawet nie ma własnego samochodu.

W sferze zamożnego kupiectwa warszawskiego mówiło się często w owe czasy:

— To bardzo biedna kobieta, nawet jej nie wystarczy na wyjazd do Marienbadu⁷¹ i musi się zadowolnić⁷² Otwockiem⁷³...

Albo też:

— Ci ludzie są prawie w nędzy: mają jedną służącą do wszystkiego.

Natomiast być uważanym za biedaka w naszym miasteczku, było to o wiele trudniejsze zadanie. Na to trzeba było już absolutnie nic nie posiadać, oprócz tej lichej odzieży na sobie i co najwyżej poduszki z kurzych piór i koszuli na zmianę.

Taką najwyższą rangę w nędzy ludzkiej osiągnęła Dwojra Pierzarka.

Nie mówię już o kupcowych, posiadających własne sklepiki, lecz nawet taka Chaja Rybiarka lub Ryfka, sprzedająca na ulicy bób i pestki dyni, były zamożniejsze od niej.

Chaja, na przykład, miała kilkanaście złotych kapitału obrotowego, oddzielną izdebkę, trochę sprzętów, naczyń i nawet komodę.

Toteż nic dziwnego, że Chaja mówiła o Dwojrze:

— Ja w porównaniu z Dwojrą żyję jak hrabina...

Stara Dwojra zaś nie miała na tym świecie żadnej własności oprócz łachów, które na sobie nosiła, siennika z przegniłej słomy i lichej poduszczyny, na której sypiała u Chai Rybiarki w komórce pod schodami, przeznaczonej pierwotnie na kartofle i węgiel.

Miała ongi Dwojra budkę ze sodową wodą, własne mieszkanie, jakie takie graty i nawet trochę oszczędności.

Ale gdy mąż umarł, wszystko to się jakoś rozleciało na wyjazd jedyne go syna do Ameryki, na chorobę i pogrzeb córki, na wszelkie kosztowne nieszczęścia.

I posiadała jeszcze Dwojra swoje dziesięć, pożał się Boże, palców, wykrzywionych i zgiętych od reumatyzmu i często opuchłych od mrozu.

A jednak z tymi palcami, na pozór zupełnymi nieużytkami, umiała Dwojra — jak nikt inny — drzeć pierze. To było jej jedyne szczęście. Inaczej umarłaby chyba z głodu, tym bardziej że posiadała jedną, mocno niewłaściwą dla nędzarzy cechę — była dumna.

— Ja bym wolała z głodu zdechnąć niż żebrać! — mówiła. — Ale na szczęście ja mam swój fach.

I rzeczywiście w tym swoim osobliwym i mizernie opłacanym „fachu” była Dwojra prawdziwą mistrzynią.

W naszym miasteczku, jak zresztą i wszędzie, zapobiegliwe gospodynie zbierały gęsie i nawet kacze pióra na wyprawną pościel⁷⁴ dla swoich dzieci.

Biedniejsze darły same te pióra, zamożniejsze dawały służącej lub wzywały Dwojrę Pierzarkę.

Znawczynie utrzymywały, że potrafią rozróżnić poduszkę lub pierzynę z gęsiego puchu wyskubanego przez Dwojrę od każdej innej.

Widocznie w najskromniejszym nawet zawodzie przejawić się może prawdziwy talent.

Gdyby tych zamożnych domów w naszym miasteczku było więcej, Dwojrze mogłoby się jako tako powodzić, ale ludzi majątnych lub choćby średnio zamożnych można było u nas na palcach policzyć.

Toteż Dwojra bardzo rzadko miała robotę, tylko od czasu do czasu zdarzało jej się takie szczęście. Tym bardziej, że z Panem Bogiem rozmawiała częściej o cudzych niż o swoich własnych sprawach.

Wielkie to było dla nas, dzieci, szczęście, gdy Dwojra przychodziła do domu dziadków.

Wolno nam było wtedy siedzieć cały wieczór w kuchni. Kucharka Chana piekla jabłka dla Dwojry, która obiecała jej wyskubać pierze na wyprawną pościel i, co ważniejsze, porozmawiać z Panem Bogiem, by nareszcie przysłał narzeczonego dla Chany.

Na kominie wesoło huczał ogień. Na wybielonych ścianach kuchni jak na ekranie

⁷¹Marienbad (niem.), ob. *Mariańskie Łaźnie* — miejscowość w Czechach, od XIX w. popularny kurort, słynny ze źródeł mineralnych. [przypis edytorski]

⁷²zadowolnić (daw.) — dziś popr.: zadowolić. [przypis edytorski]

⁷³Otwock — miasto w woj. mazowieckim; pod koniec XIX w. dzięki budowie Kolei Nadwiślańskiej, łączącej go z Warszawą, stało się miejscowością sanatoryjno-uzdrowiskową. [przypis edytorski]

⁷⁴wyprawna pościel — pościel będąca częścią wyprawy ślubnej, czyli rzeczy otrzymywanych przez dziewczynę wychodzącą za mąż od rodziców. [przypis edytorski]

przesuwały się i płały nasze cienie, którym przypatrywaliśmy się z wielką ciekawością. Pod stołem pomrukiwał duży, czarny kot, nazwany przez Chanę za różne nieczne sprawki Chuliganem. Skwierczenie tych piekących się jabłek i ich woń cudowna potęgowały w nas wrażenie, że za chwilę razem z bajkami Dwojry rozpocznie się wielka uroczystość.

Dziwne były te bajki, opowiadane przez Dwojrę Pierzarkę!

Nie przypominały one w niczym polskich bajek ludowych o diable, wilkołaku, Babie-Jadze, o rozbójnikach, Marysi sierocie, o złej macosze, głupim Jasiu lub o pięknej królewnie.

Dwojra opowiadała zwykle historie ze Starego Testamentu, lecz tak przeinaczone i niejako uwspółcześnione, że wydawało nam się, iż mówi o ludziach i wydarzeniach z naszego miasteczka.

Rut, zbierająca w słoneczny dzień pokłosie na niwie⁷⁵ Boaza, by nakarmić chorego ojca, wydawała nam się biedną dziewczyną z naszego miasteczka, która w końcu wychodziła za mąż za zamożnego i zanego żydowskiego kolonistę.

Judyta w tych bajkach nie obcinała głowy srogiemu Holofernesowi, lecz ujarzmiła swymi wdziękami jakiegoś antysemitę lub nawet chuligana, a później precz odpędzała, aby całe życie był nieszczęśliwy.

Płomienna prorokini Debora, rzucająca narodowi natchnione słowa, zamieniała się w nią samą, Dwojrę, rozmawiającą serdecznie z ludźmi i z Panem Bogiem, i w tym przestoczeniu stawała nam się bliższa i bardziej zrozumiała.

Dwojra Pierzarka prowadziła bowiem z Bogiem częste i poufne rozmowy.

Wydawało nam się zrazu, że Dwojra ma halucynacje, czy też objawienia, o których czytaliśmy w książkach. Albo że choć nie jest ona zupełną wariatką, jak Sulamita biegająca po mieście z kukłą z gałganów zamiast dziecka, jest jednak trochę, jak u nas się mówiło, „pomylona”.

Ale później zmieniliśmy zdanie, bo Dwojra bynajmniej nie twierdziła, że widzi Pana Boga lub słyszy Jego głos: ona po prostu w sercu swoim rozmawiała z Nim o wszystkim i wszystkich.

— Czy Dwojra rozmawiała dziś z Panem Bogiem? — pytaliśmy się, kiedy skończyła już swoje bajki i odłożyła worek z pierzem, a Chana podawała jej pieczone jabłka.

— Dlaczego miałam nie rozmawiać? Mało to mam na głowie spraw, mało to nie-szczęść jest w naszym miasteczku?

— Moja Dwojro — mówiła kucharka Chana — skoro wy tak często z Panem Bogiem rozmawiacie, dlaczego nie poprosicie Go o trochę pieniędzy dla polepszenia swego bytu?...

— Myślałam, że Chana jest za mądra na to, by zadawać takie głupie pytania, ale widzę, że się omyliłam! Jak ja mogę coś podobnego do Pana Boga powiedzieć! On mi zaraz na to odpowie: „Dlaczego ty się skarżysz, Dwojro? Czy ty śpisz pod gołym niebem i na kamieniach? Nie, masz swój kącik, za który płacisz rubel pięćdziesiąt miesięcznie, masz swój siennik i nawet pierzynę. Że tam skąpo trochę z jedzeniem, to za to cię nigdy brzuch nie boli z przejedzenia, jak te bogaczki, co pchają w siebie gęsi, szmalec, ryby, kugiel⁷⁶ i nawet konfitury z malin... Kaftan na sobie masz, spódnice także, gołym tyłkiem przed ludźmi nie świecisz, nawet chustkę na zimę dobrzy ludzie ci podarowali. Więc czego ty mi na próżno głowę zawracasz?”... Tak by mi Pan Bóg odpowiedział, a ja musiałabym milczeć, bo nie mogłabym Mu odrzec, że nie ma racji.

— No, a gdyby Pan Bóg przypadkiem nie miał racji, wtedy Dwojra odważyłaby się Mu to powiedzieć?! — zapytała zdziwiona Chana.

— Dlaczego nie? Ja z nim gadam szczerze. Pan Bóg nie lubi lizusów i pochlebców... Na przykład dwa tygodnie temu rozmawiałam z Nim o Ruchli Żołnierce i wręcz Mu powiedziałam, że nie ma prawa pozwolić, aby się działy takie rzeczy.

— Jakie to rzeczy, Dwojro?

— Ano, tam było tak: ta Ruchla mordowała się, aby wyżywić siebie i dziecko, kiedy jej męża do wojska zabrali i jeszcze jemu od czasu do czasu parę rubli posłała. Nareszcie ten Icek powrócił z wojska i zdawało się, że obejmie dawne miejsce w piekarni i będzie jej lżej żyć na świecie. Ale gdzież tam! Nauczył się w wojsku tak pić, że żaden goj więcej

⁷⁵niwa (daw.) — pole, ziemia uprawna. [przypis edytorski]

⁷⁶kugiel a. kugel — tradycyjna żydowska potrawa świąteczna w postaci wypiekanej w piecu zapiekanki z utartych surowych ziemniaków z jajkami i cebulą; w wersji deserowej z makaronem i owocami. [przypis edytorski]

Bóg, Kondycja ludzka,
Pieniądz

Bóg, Kondycja ludzka,
Krzywda

nie potrafi. Klnie ją, wyzywa ostatnimi słowami, do łóżka nie wpuszcza, bo brzydka jest, powiada, i śmierdzi śledziami! Takiego delikatnego pieska ze siebie stroi. Jaki to porządny Żyd powie, że śledzie śmierdzą? Przecież Pan Bóg głównie dla Żydów śledzie stworzył, żeby mieli przyjemność i pożytek! I jak Ruchla może nie śmierdzieć śledziami, kiedy ona nimi handluje? Ale to jeszcze nic... Tydzień temu srebrny świecznik szabasowy, który Ruchla po dziadkach odziedziczyła i jak oka w głowie strzegła, Ajzykowi Pijawce za byle co sprzedał, a pieniądze z paskudnymi kobietami przehułał i przepił. A gdy wrócił do domu, to Ruchlę za jej wymówki tak zbił, że dwa dni w łóżku leżała. Tego już było za wiele. Mówię tedy do Pana Boga: „Ty Ojcem naszym jesteś, a dopuszczasz, aby na świecie działy się takie rzeczy? Wiem, że masz dużo ważnych spraw na głowie, ale powinieneś je odłożyć i poratować tę kobietę, bo ona jest z nieszczęśliwych najnieszczęśliwsza...”

— A co na to Dwojrze Pan Bóg odpowiedział?

— Pan Bóg powiedział tak: „Dlaczego wy się ze wszystkim do mnie pchacie, a sami palcem nie kiwniecie, aby uratować drugiego człowieka?! Do mnie trzeba przychodzić, kiedy wyczerpały się już wszystkie wasze ludzkie środki i zabiegi, a nie tak od razu wszystko na mnie zwałać, bo to jest za łatwo i za wygodnie... Nie wiesz to, Dwojro, że owa Ruchla ma w Łowiczu siostrę za bogatym rzeźnikiem⁷⁷? Napisz tedy do niej, do tej siostry, co i jak. Przecież serce siostrzane nie kamień, przyjedzie i zabierze ją z dzieckiem do siebie”. I co powiecie? Jak Pan Bóg powiedział, tak się stało! Posłałam do naszego melameda⁷⁸, wszystko mu szczegółowo opowiedziałam, a on taki list napisał, że król Salomon⁷⁹ lepiej by nie potrafił. Nawet za znaczek pocztowy wziąć ode mnie nie chciał (niech mu Pan Bóg za to da zdrowie), bo powiada: „Tyś, Dwojro, ode mnie biedniejsza”. Przyjechał tedy po Ruchlę szwagier. Cała osoba! Palto z karakułowym kołnierzem, kapełusz, złoty łańcuch od zegarka wisi mu na grubym brzuchu. Zabrał Ruchlę z dzieckiem do siebie, powiedział, że rozwód przeprowadzi i może nawet za porządnego człowieka ją wyda. „Mnie stać na to”... wciąż powtarzał. I nawet mi za list dziękował i mówił, że jestem mądra kobieta, że się do niego zwróciłam. Nic dziwnego, nie wiedział przecież, że to nie z mojej głupiej głowy wyszło, tylko Pan Bóg mi tak poradził...

— A dla siebie Dwojra o nic Pana Boga nie prosi?

Dwojra się jak gdyby zawstydzila, lecz po chwili odpowiedziała:

— Owszem, ja się często Panu Bogu naprzykrzam i ja go wciąż o to samo proszę... wciąż mu przypominam tę szyfkartę⁸⁰.

— Jaką szyfkartę?

— Ja go proszę, aby mój syn z Ameryki przysłał mi szyfkartę, abym ja mogła jechać do niego. Po pierwsze to znaczyłoby, że on się w tej Ameryce czegoś dorobił i wyszedł na ludzi, po drugie, że o starej matce nie zapomniał, a po trzecie, że ja go jeszcze przed śmiercią moimi oczami oglądać będę. Ot, co wszystko razem wydrukowane by było dużymi literami na tej szyfkarcie!

I mówiąc to, Dwojra patrzyła przez ciemne okno kuchni, jak gdyby tam, gdzieś w obłokach, między srebrnymi gwiazdami zawieszona była karta okrętowa, wiodąca przez dalekie morza do krainy Cudu...

— A Pan Bóg, czy obiecał tę szyfkartę? — pytamy poważnie, bo jakoś zaczynamy wierzyć w to, że Dwojra naprawdę z Panem Bogiem rozmawia.

Ona zaś odpowiada poufnym szeptem:

— Obiecał, na pewno obiecał, tylko kazał cierpliwie czekać, bo — powiada — w Księgach Przeznaczenia zapisana jest na każdego jego kolej, a moja jeszcze nie przyszła, więc nie można zmieniać dla mnie całego porządku...

W kilka miesięcy później rozeszła się w miasteczku wiadomość, że syn z Ameryki (niech mu Bóg da zdrowie) przysłał Dwojrze szyfkartę i kilkanaście dolarów.

⁷⁷ma siostrę (...) za rzeźnikiem (daw.) — ma siostrę, która jest żoną rzeźnika. [przypis edytorski]

⁷⁸melamed a. melamed (hebr.: nauczyciel) — nauczyciel w chederze, elementarnej szkole żydowskiej o charakterze religijnym przeznaczonej dla dzieci. [przypis edytorski]

⁷⁹Salomon — biblijny król Izraela, syn Dawida, słynny z mądrości, w tradycji żydowskiej przypisuje mu się autorstwo *Księgi Koheleeta*, *Księgi Przysłów* oraz *Pieśni nad Pieśniami*. [przypis edytorski]

⁸⁰szyfkarta (z niem. *Schiffskarte*) — bilet okrętowy. [przypis edytorski]

Ucieszyliśmy się bardzo, a najwięcej radowała się nasza kucharka Chana.

Wyznać trzeba, że radość Chany nie była zupełnie bezinteresowna: Dwojra bowiem rozmawiała z Panem Bogiem, prosząc o męża dla biednej, brzydkiej i niemłodej już Chany. Więc skoro Dwojra ma taki posłuch u Pana Boga, że przysłał naprawdę ową szyfkartę, to i jej, Chanie, przez protekcję Dwojry, przysłał na pewno upragnionego męża...

Trochę nas tylko dziwiło i niepokoiło, że Dwojra nie przychodzi do nas podzielić się swą radością i zarazem pożegnać się z nami.

Postanowiłyśmy więc razem z siostrą i kucharką Chaną wybrać się do niej.

Przyjęła nas Chaja Rybiarka, u której Dwojra odnajmowała ciemny kąt pod schodami.

— No cóż, przysłała nareszcie ta szyfkarta! — krzyknęła radośnie nasza Chana — a wyście zawsze mówili, Chajo, że nadzieja — matka głupich.

Ale Chaja Rybiarka odburknęła niechętnie:

— Ano tak, przysłała... ale... za późno.

— Jak to „za późno”?

— Był tu przed godziną starszy felczer pan Lewkowicz i powiedział... — tutaj Chaja zaniosła się od płaczu — powiedział... — wykrztusiła w końcu przez łzy — że do podróźowania na tamten świat nie potrzebna jest człowiekowi żadna szyfkarta.

Wprowadzone przez Chaję, weszliśmy do ciemnej komórki, bez okien i bez podłogi, gdzie na sienniku, pod starą czerwoną pierzyną, leżała sobie spokojnie Dwojra.

Na wywróconej skrzyni od cukru, zastępującej widocznie stół, paliła się wetknięta w butelkę maleńka lojowa świeczka.

Ujrzawszy nas, Dwojra uśmiechnęła się przyjaźnie i powiedziała cicho:

— No, widzicie, co wam mówiłam? Przysłał mi mój ukochany syn, z rozkazu samego Pana Boga, szyfkartę.

I wyciągnęła spod poduszki ową kartę — widoczny znak Bożej łaski.

Milczałyśmy, a Dwojra mówiła, a raczej szeptała dalej:

— Ja dobrze wiem, co wy sobie teraz mówicie w duszy... Wy myślicie tak: „Co jej biednej przyjdzie z tej szyfkarty, kiedy ona pewno niedługo umrze?”. Ja sama nic nie wiem; może wyzdrowieje, a może umrze... Ale to nic nie szkodzi...

— Jak to nic nie szkodzi?... — wyrwało się mimowolnie Chanie.

— Czy ja ci nie powtarzałam wciąż, Chano, że ta karta to dla mnie nie tylko możliwość zobaczenia się z synem, ale przede wszystkim dowód, że jemu się dobrze powodzi i że kocha, jak dawniej, swoją starą matkę. I ten dowód Pan Bóg mi przysłał, więc jeśli nawet sądzona mi jest śmierć, to ja umrę z lekkim sercem i do ostatniej chwili dziękować będę Panu Bogu, że mnie tak uradował i obdarzył.

Opowiadała nam później Chaja Rybiarka, że gdy przyszły kobiety, aby oddać Dwojrze ostatnią przysługę, ledwo zdołały wyciągnąć z jej palców ową szyfkartę, którą przysłał Pan Bóg w ostatniej chwili, aby nie potrzebował się wstydzić przed nią, kiedy spotkają się w Niebie...

WESELE NASZEJ CHANY (IDYLLA)

W naszym miasteczku na piękno w ogóle, a na piękność kobiety w szczególności nie zwracano zbyt wielkiej uwagi. Gdzież to jest napisane, że kobieta musi być koniecznie piękna i co właściwie komu przyjdzie z jej urody? Do najładniejszej i do najbrzydszej żony mąż się przyzwyczaić musi i w końcu nie będzie dostrzegał ani jej urody, ani jej brzydoty...

A innym ludziom także z tego ani ubędzie, ani przybędzie, że kręci się po świecie ładna czy też brzydka kobieta.

A jednak nawet u niewybrednych ludzi naszego miasteczka Chana uchodziła za skończenie brzydką dziewczynę.

Istotnie nasza kucharka Chana była niska, tęga i prawie tak szeroka, jak długa. Jej kędzierzawe włosy nie były nawet rude, a niemal tak czerwone, jak pomidory.

Spojrzenie miała bystre i nawet mądre, ale maleńkie jej oczki tak ginęły w fałdach tłuszczu, że prawie ich się nie dostrzegało. Usta były wielkie, a znowu nos maleńki

i spłaszczony jak guzik i przy tym lśniący czerwony, choć Chana zupełnie nie używała alkoholu. Tak to, nie wiadomo za jakie winy, pokrzywdziła ją natura.

Cóż z tego, że Chana była dobrą, pracowitą i nawet stosunkowo wykształconą dziewczyną (czytała i pisała poprawnie po polsku i po żydowsku, a z ksiązek i pism zaczerpnęła sporo wiadomości o życiu i ludziach)?... Któż mógł o tym wiedzieć oprócz najbliższych? Przecież tak już było i jest na świecie, że mężczyzna młody czy stary, inteligent czy prosty robotnik woli paplać o głupstwach z ładną dziewczyną, niż rozmawiać poważnie z rozumną, lecz brzydką.

Gdyby Chana miała pieniądze, to swaci znaleźliby jej mimo wszystko męża. Ale Chana nie posiadała żadnych oszczędności, gdyż z niewielkiej swojej pensji utrzymywała sparaliżowaną, u krewnych mieszkającą, matkę.

Toteż kiedy Dwojra Pierzarka obiecywała Chanie męża, wierzyliśmy mniej w taki cud niżeli w opowiadane przez nią bajki.

Lecz widocznie Dwojra, która stale rozmawiała z Panem Bogiem, była lepiej od nas poinformowana co do przyszłych losów Chany.

Nasza Chana kupiła ósemkę losu Polskiej Loterii Państwowej. Jedyna to była bowiem dla Chany szansa wzbogacenia się i co za tym idzie, zdobycia męża.

I los ten, widocznie przez protekcję Dwojry, która już wtedy była u Pana Boga, istotnie wyszedł. Na ósemkę Chany wypadła ogromna suma — dwa tysiące rubli.

Kiedy wiadomość o tym jej szczęściu rozeszła się w miasteczku, już na drugi dzień zjawił się w naszej kuchni szames, drugi po panu Gawronie swat w miasteczku.

— Ja mam dla ciebie partię, Chano — powiedział bez wstępu, a spojrzawszy na nią, dodał wesoło: — Ty, zdaje się, z radości wypiękniałaś...

Prawdę mówiąc, Chana bynajmniej nie wypiękniała, przeciwnie, jej duża twarz stała się jeszcze bardziej czerwona, co jej bynajmniej nie przysparzało urody, ale taka już jest widocznie siła pieniądza, że szames widział teraz Chanę w aureoli ze złota, czyli ściślej mówiąc, z nowiutkich szeleszczących sturubłówek...

— Tak, tak — powtórzył — teraz z ciebie jest cała kała⁸¹ i ja ci już upatrzyłem męża.

— A któż on jest taki? — szepnęła wstydliwie Chana.

— Kto on taki? — powtórzył szames. — Nigdy nie zgadniesz! On nie jest robotnik, on nie jest tragarz, on nie jest z byle jakiej rodziny, on nie jest brzydki... Wprost przeciwnie! On jest fachowiec, rzemieślnik całą gębą, on pochodzi z dobrej rodziny i on jest chłopiec jak migdał. I w dodatku on nazywa się Kiwa Cukier, więc tobie z nim będzie bardzo słodko. No, co ty na to powiesz?

— Ja nic nie powiem, bo ja go wcale nie znam — odpowiedziała Chana.

— Aj, aj — zdziwił się swat — jak można nie znać Kiwę Guzikarza, to jest Cukiera? Jego przecież zna całe miasteczko, bo on jest pierwszym czeladnikiem krawieckim u pana Dancigera. Ale to nic nie szkodzi, że ty go nie znasz. To nawet dobrze, bo porządna panna nie powinna znać zbyt dużo młodych ludzi. Ja wam urządzę spotkanie u mnie w domu.

— Ja poproszę pani, to ona pozwoli mi go tutaj przyjąć — odpowiedziała Chana. — Przecież ja tutaj służę już osiem lat, to mnie uważają prawie za krewną. A przy tym ja chcę, aby moja pani go zobaczyła, bo ona jest dla mnie jak matka.

— To jest bardzo dobra myśl — pochwalił szames. — Zaraz widać, że ty jesteś mądra dziewczyna i mąż będzie miał z ciebie całą pociechę, tym bardziej, że on chce zacząć pracować na swoją rękę, a do tego potrzebna mu jest mądra żona.

Chana poszła do jadalni i po chwili wróciła, oznajmiając, że pani pozwoliła jej przyjąć w sobotę po południu konkurenta i nawet upiec na to przyjęcie specjalne ciasto.

W piątek Chana sprzątała zwykle kuchnię i czyniła to dość porządnie i gruntownie. Lecz tego piątku to już nie było zwykle sprzątanie: zdawało się, że Chana chce doprowadzić tę kuchnię do stanu idealnej doskonałości, zamienić ją we wspaniałą komnatę, do której ma wstąpić tak dawno oczekiwany oblubieniec...

Istotnie, lśniły niepokalaną bielą dokładnie wyczyszczone ściany. Rondle na półkach błyszcząły jak małe słońca, a półki były przyozdobione z różowej bibułki wyciętą koronką.

⁸¹kała — panna na wydaniu lub narzeczona. [przypis redakcyjny]

Firanki były świeżo uprane, a na oknie jarzył się wszystkimi kolorami duży bukiet na rynku kupionych, papierowych kwiatów.

W sobotę szames z konkurentem zjawili się punktualnie o czwartej.

Nie można powiedzieć, aby konkurent Chany odznaczał się wielką urodą. Był, jak ona, gruby, czerwony i krępy. Nie miał jednak rudych, jak ona, włosów, lecz bujną, ciemną czuprynę i dość regularne rysy, tak że mógł przy skromnych wymaganiach uchodzić za dość przystojnego młodzieńca.

Kiedyśmy z siostrą, wbrew zakazowi matki, weszły do kuchni, zerwał się ze stołka i wyprostował się jak żołnierz przed oficerem. Zaraz było poznać, że służył w wojsku. Chciałyśmy z nim porozmawiać, by poznać bliżej konkurenta naszej Chany, lecz nie wiedziałyśmy, jak zacząć, zapanowało więc w kuchni kłopotliwe milczenie.

Szames, ratując widocznie sytuację, powiedział:

— Widzą panienki, jakiego pięknego młodzieńca znalazłem dla waszej Chany. Prawda, że ona zasługuje na dobrego męża?

— O tak! — zawołałyśmy z zapalem. — Nasza Chana jest bardzo dobra, rozumna i pracowita!

Konkurent, który dotychczas zawzięcie milczał, powiedział niespodziewanie do mojej siostry:

— Panienska ma na swojej sukni bardzo piękne guziki. To jest prawdziwy perlamuter (perłowa macica), a nie żadna imitacja...

To odezwanie się tak nas zaskoczyło i zadziwiło, że nie wiedziałyśmy, co odpowiedzieć.

— Może być... — bąknęła w końcu siostra.

Tymczasem matka zawołała nas do siebie i zapowiedziała, abyśmy nie przeszkadzały młodemu, którzy muszą się przecież ze sobą bliżej poznać.

Po chwili szames odszedł i oboje młodzi pozostali sami.

— Teraz zacznę pewno mówić o miłości — powiedziała tajemniczo moja siostra.

Nigdy jeszcze nie słyszałyśmy ludzi rozmawiających o miłości, nawet w teatrze lub w kinematografie⁸², dla tej prostej przyczyny, że w naszym miasteczku nie było teatru lub kinematografu.

— Usiądźmy sobie w przedpokoju i posłuchajmy — zaproponowała siostra.

W przedpokoju istotnie można było doskonale słyszeć to, o czym się mówiło w kuchni.

I oto usłyszałyśmy, że konkurent mówi z naszą Chaną nie o miłości, lecz znowu... o guzikach.

— Sam majster przyznaje — mówił Cukier — że jak ja przyszyję guzik, to największy siłacz nie oberwie tego guzika. Kiedy matki stalują⁸³ ubranie dla swoich chłopców, to zawsze proszą, aby Cukier przyszył guziki, bo powiadają, że te łobuzy grają całymi dniami w guziki, a jak będą przyszyte przez Cukra, to sam diabeł ich nie oberwie.

— To jest istotnie wielka sztuka — przyznała uprzejmie Chana i, chcąc widocznie skierować rozmowę na inne tory i jednocześnie przedstawić się w najlepszym świetle, zapytała: — Czy pan lubi czytać książki i gazety? Ja bardzo lubię, bo człowiek dowiaduje się przynajmniej, co słyhać na szerokim świecie.

Na to młody Cukier odpowiedział:

— Może bym i lubił... ale ja nie mam czasu. Cały dzień pracuję u majstra, a wieczorem ja oglądam, czyszczę i sortuję moje guziki.

Siostra, przerażona, szepnęła:

— Ten człowiek ma jakąś guzikomanię! Dlaczego ten obrzydliwy szames przyprowdził do naszej dobrej i mądrej Chany takiego wariata?

A konkurent mówił dalej:

— Ja zbieram wszelkie guziki od męskich i kobiecych ubrań. Kiedy chodzę po zakupy dla majstra, to zawsze kupuję dla siebie kilka ładnych guzików z każdego sortu.

⁸²kinematograf (daw.) — kino. [przypis edytorski]

⁸³stalować — zlecać wykonanie czegoś, zamawiać coś. [przypis edytorski]

I opowiadał Chanie dalej, że na strychu u majstra znalazł całe pudło guzików do oficerskich, żołnierskich i urzędniczych mundurów. Guziki te pochodziły z bardzo dawnych czasów, bo ojciec, dziadek i pradziadek majstra byli także krawcami.

— Te guziki nie miały dla majstra żadnej wartości, bo już teraz takich nie używają — mówił. — A jednak zdarł ze mnie szelma za nie całe pięć rubli. „To jest droga pamiątka, więc mniej niż za pięć rubli sprzedać nie mogę”. Tak majster do mnie powiedział. I co mogłem zrobić? Musiałem się zgodzić. A znowu, jak byłem w Łodzi na weselu siostry, to udało mi się kupić na likwidacji za psie pieniądze całą masę damskich guzików do sukien, palt i bluzek. Prześliczne guziki wszelkich kształtów i kolorów i pierwszorzędny gatunek.

— Czy pan chce otworzyć sklep z guzikami? — zapytała Chana.

Konkurent aż krzyknął ze zdziwienia, czy też oburzenia.

— Ja miałbym sprzedawać moje guziki? Nigdy w życiu! Przecież ja zbieram je tylko dla siebie, dla własnej przyjemności.

Nie miałyśmy wtedy pojęcia o tym, że istnieją na świecie kolekcjonerzy, zbierający często rzeczy również błahe i zbędne, jak owe guziki biednego krawczyka, toteż zdecydowałyśmy ze siostrą, że człowiek ten ma „guzik w głowie” i że trzeba biednej naszej Chanie wyperswadować małżeństwo z takim wariatem.

Lecz Chana była zupełnie innego zdania.

— Ja wolę, żeby on miał zamiłowanie do guzików niż na przykład do wódki i do kart lub, broń Boże, do nieporządnych kobiet... — mówiła.

Po drugim już spotkaniu przyjęła propozycję małżeństwa i wesele naznaczono za miesiąc.

Odtąd Kiwa zjawiał się w naszej kuchni dwa razy tygodniowo, w środę wieczorem i w sobotę po południu. Weszliśmy kilka razy do kuchni i dziwiło nas bardzo, że wbrew temu, cośmy wyczytały ukradkiem w powieściach dla dorosłych, narzeczeni siedzieli zawsze z dala od siebie.

Chana na swoim kuferku pod oknem, Kiwa na zydlu przy kuchennym stole, przy czym prowadzili rozmowy na bardzo powszednie tematy.

Mówili na przykład o tym, gdzie najtaniej można kupić stół i łóżko i że ktoś tam sprzedaje za 8 rubli starą szafę, którą można doskonale wyreperować.

Dziwiło nas również, że Kiwa nie mówi Chanie o swoich uczuciach i nawet nie przynosi narzeczonej kwiatów i słodyczy, i zdecydowałyśmy, że Chana będzie bardzo nie-szczęśliwa z Kiwą Guzikarzem.

Wreszcie nastąpił dzień ślubu naszej Chaney.

Za długoletnią i wierną służbę rodzice postanowili wyprawić jej wesele w naszym domu. Chana kupiła sobie zieloną suknię ze sztucznego jedwabiu i pierwsze w życiu lakierowane pantofle na wysokich obcasach,

Nagotowano, nasmażono i napieczono jedzenia bez liku, a Chana kupiła za swoje pieniądze kilkanaście butelek wódki i słodkiego palestyńskiego wina.

Pragnąc dowieść narzeczonemu i jego rodzinie, że chociaż jest służącą, pochodzi z nie byle jakiej rodziny⁸⁴, napisała serdeczny, niemal błagalny list do ciotki, bogatej kupcowej w Łodzi, zapraszając ją na swoje wesele.

Jakoż ta ciotka istotnie przybyła. Mówię nie przyjechała, a „przybyła”, bo to określenie najlepiej się stosuje do tak wspaniałej osoby.

Wszystkiego w niej było pod dostatkiem, a nawet, prawdę mówiąc, za wiele. Dużego wzrostu, bardzo tęga, ubrana była w niebieską, z najlepszego jedwabiu suknię, spod której sterczały trzy pagórki: wielki brzuch i ogromne piersi, na których śmiało można było ustawić tacę z herbatą lub zakąskami. Wzdłuż tej sukni wisiał ciężki złoty łańcuch, a na kapeluszu powiewała tryumfalnie „pleureusa”⁸⁵, za którą owa ciotka zapłaciła całe 50 rubli, jak nam oznajmiła na wstępie.

Chana wciąż zabiegała około tak wspaniałej familiantki⁸⁶, a ciotka, wydymając wargi, mówiła łaskawie:

Wesele

Dama

Wesele, Dar

⁸⁴familia (z łac.) — rodzina. [przypis edytorski]

⁸⁵pleureusa (z fr.: pleureuse: płacząca, płaczka) — puszyste pióro strusie zwisające z damskiego kapelusza. [przypis edytorski]

⁸⁶familiantka (daw.) — kobieta z rodziny, krewna. [przypis edytorski]

— Dobra z ciebie dziewczyna, Chano, umiesz przynajmniej ocenić zaszczyt, który ci sprawiłam moim przyjazdem.

Na oddzielnym stole ustawione były prezenty ślubne Chany, pomiędzy którymi wyróżniał się dar ciotki — sześć noży, łyżek i widelców z prawdziwego srebra w czerwonym, aksamitem wysłanym, pudle.

Najoryginalniejszy jednak prezent ślubny otrzymała Chana od pana Podleskiego, właściciela największego w naszym mieście sklepu korzennego⁸⁷. Chana była służącą u dobrych klientów i od ośmiu lat robiła w sklepie pana Podleskiego stosunkowo znaczne zakupy, toteż kupiec w przystępie dobrego humoru powiedział jej kiedyś:

— Jak panienka wyjdzie za mąż, to otrzyma ode mnie piękny ślubny prezent.

Mówiąc tak, przypuszczał zapewne, że chyba wariat ożeni się z tak brzydką i w dodatku biedną dziewczyną.

Lecz oto pewnego razu Chana zjawiała się specjalnie w sklepie pana Podleskiego, by oznajmić mu, że wychodzi za mąż i przypomnieć obietnicę.

Pan Podleski, jakkolwiek zaskoczony tą wiadomością, odpowiedział:

— Ja mam tylko jedno słowo.

Istotnie następnego dnia przysłał swój ślubny prezent. Odpakowano ostrożnie sporą skrzynkę i przed zdumionymi naszymi oczami ukazał się wielki porcelanowy Chińczyk, poruszający nieustannie głową, zupełnie podobny do tego, który królował na wystawie sklepu pana Podleskiego na piramidzie pudełek od herbaty i wzbudzał nieustanny zachwyt gawiedzi.

Tylko że tamten Chińczyk był sceptykiem i kiwał głową to w jedną, to w drugą stronę, jak gdyby mówiąc: „Albo tak, albo nie... Nic na świecie nie jest pewne”...

Zaś Chińczyk Chany nieustannie podnosił i opuszczał głowę w dół, na znak potwierdzenia.

Widocznie pan Podleski otrzymał tego drugiego Chińczyka od swego stałego dostawcy herbaty i nie wiedział, co z nim zrobić, dopóki nie wydarzyła się tak pomyślna okazja lokaty.

Ku naszemu zdziwieniu, Chana przyjęła z radością dar pana Podleskiego:

— Postawię go na komodzie i będzie upiększał całe mieszkanie. A przy tym będzie nam wesoło z tym Chińczykiem.

— Dlaczego wam będzie z nim wesoło? — zapytała drwiąco Chaja Rybiarka, która właśnie przyniosła na wesele trzy ogromne karpie.

— Że też Chai trzeba wszystko łopatą do głowy włożyć — odpowiedziała Chana. — Czy to nie jest przyjemnie mieć w mieszkaniu kogoś, który ciągle kiwa głową, że „tak”, że wszystko jest w porządku?

— Ta Chana robi się taka głupia, jak jej narzeczony Kiwa Guzikarz — zdecydowała Chaja, kładąc na stole swoje ryby.

Zebrała się już rodzina i goście zaproszeni na wesele Chany, a narzeczonego jak nie widać, tak nie widać. Już zaczęto się niepokoić, że nagle zachorował, aż tu przyleciał Szmulek, syn Chai Rybiarki, z dziwną wiadomością.

Opowiedział, że Kiwa Guzikarz siedzi w restauracji Cementa razem z tymi pijakami — Joślem, bratem niedźwiedzia, i Nuchimem od rzeźnika.

Piją jeden kieliszek po drugim, duża butla jest już prawie opróżniona, a oni nie myślą się ruszać i kazali sobie podać drugą.

Szmulek dodał, że nawet Cementowa, wiedząca, że dzisiaj jest ślub Chany, jest zaniepokojona i mówi, że dzieją się „nieładne rzeczy” i ona sama wkrótce tutaj przyjdzie, aby opowiedzieć o całym zajściu.

— Co mu się stało?! — krzyknął przerażony Szames. — Przecież on kieliszka wódki do ust nie bierze! Ja zaraz po niego pójde.

Lecz w tej chwili zjawiała się Cementowa i poprosiła moją matkę o chwilę rozmowy na osobności.

⁸⁷sklep korzenny (przest.) — sklep z przyprawami, zwłaszcza egzotycznymi, jak cynamon, gałka muszkatołowa, imbir, kurkuma szafran, wanilia itp. [przypis edytorski]

Opowiedziała, że Kiwa Guzikarz przechodził koło jej restauracji, spiesząc na swoje wesele. Dwaj pijacy dojrżeli go i przemocą wciągnęli do restauracji, aby postawił im butelkę przy tak uroczystej okazji. Kiwa zrazu się opierał, ale widząc, że się od nich nie odczepi, powiedział:

— No dobrze, ale prędko, bo nie mogę się przecież spóźnić na swój własny ślub.

Kiwa nigdy nie pił, a przy tym był na czczo, więc już po drugim kieliszku zakręciło mu się w głowie.

Mimo to jednak prosił:

— Puśćcie mnie, moi kochani, bo nie mogę przecież przyjąć pijany na mój ślub.

A oni wciąż mu dolewają i mówią:

— Nie puścimy cię bracie, bo nam ciebie żal i nie chcemy, żebyś się ożenił z najbrzydszą w miasteczku dziewczyną...

A ten hycel Nuchim dodaje:

— Ja bym pluskwę wolał mieć w łóżku niż taką żonkę.

Dopóki mówili tylko o brzydocie Chany, Kiwa protestował i odpowiadał, że wszystkie kobiety są podobne jedna do drugiej i z każdej można mieć jednakowy użytek.

Ale Josele zaczął nagle z innej beczki:

— Ty głupcze, czy ty nie rozumiesz, że ona ci zmarnuje wszystkie twoje guziki?

Wtedy Kiwa zaczął się już uważniej przysłuchiwać ich słowom, a oni mu wciąż dolewają i opowiadają, jak to ona część guzików porozrzuca i pogubi podczas sprzątanania, inną część użyje do swoich łachów, a największą sprzeda.

Wówczas Kiwa Guzikarz zerwał się, huknął pięścią w stół i krzyknął:

— Jej niedoczekanie! Ja wolę moje guziki niż dziesięć najpiękniejszych kobiet! Ja się nie żenię i basta!

I sam już wtedy krzyknął:

— Chłopak, drugą butelkę!

Matka wezwała na naradę szamesa, tymczasem w tajemnicy przed Chaną, lecz szames zaczął tak krzyczeć i odgrażać się, że Chana usłyszała i weszła zaniepokojona do gabinetu ojca, gdzie odbywały się narady. Stała we drzwiach i w jednej chwili zrozumiała, o co idzie. Opuściła bezwładnie ręce, a jej duża czerwona twarz nie pobladła, lecz stała się ziemistoszara. Dygotała przy tym na całym ciele jak w febrze.

— Moja droga Chano... — zaczęła oględnie matka. — Ja rozumiem, że stała się tu rzecz bolesna i oburzająca. Ale gdyby nawet, jak chce tego szames, udało mu się przyprowadzić tego... tego Kiwę, jakie będzie później wasze pożycie? Lepiej przeżyć godzinę upokorzenia, tym bardziej, że ty tu jesteś bez winy, niżeli potem być całe życie nieszczęśliwą.

W tej chwili do gabinetu weszła Chaja Rybiarka. Nikt jej nie wołał, ale Chaja dyskrecją i dobrym wychowaniem się nie odznaczała.

A jednak nie można było jej osądzać, bo poczuła, że stało się jakieś nieszczęście i pośpieszyła na ratunek.

Szames wciąż pomstował i krzyczał, że on każe związać opornego oblubieńca i przyprowadzi go tutaj żywego lub umarłego.

Ale matka nakazała mu milczenie i powiedziała do Chany:

— Ty sama musisz zdecydować, Chano. We własnym swoim sercu znaleźć postanowienie.

Po chwili milczenia Chana przemówiła:

— Proszę pani, mnie nie idzie o mój wstyd, o to, że ja teraz ludziom na oczy nie będę śmiała się pokazać po takiej hańbie... Nie o to mi idzie... niech mi pani wierzy. Ale ja czuję, że Kiwa po tej historii zupełnie się zmarnuje. Na niego przyszła zła godzina... może każdy człowiek ma w życiu złą godzinę... Czy ja wiem? Ale jedno wiem na pewno, że jego potem będzie serce boleć i wstyd mu będzie, że tak skrzywdził sierotę, bo on nie jest zły człowiek i on przystanie do tych pijaków, by jak oni w wódce szukać pociechy. Ja go chcę ratować. A czy później będę z nim szczęśliwa, czy nieszczęśliwa — to już jest w rękach Bożych. Jak Pan Bóg da, tak będzie.

Wtedy matka moja powiedziała zafrasowana i wzruszona:

— Ja chyba sama tam pójdę, by z nim pomówić.

Ale Chaja Rybiarka energicznie zawołała:

— To nie dla pani chodzić do szynku, do tych pijaków! Pani to może zdrowiem przepłacić. Co innego ja. Jak mi powiedzą jedno paskudne słowo, to ja im dziesięć gorszych odpowiem. Zresztą do tego może nie dojdzie, bo ja znam Josła i Nuchima i dam sobie z nimi radę.

Tyle było pewności siebie i energii w tej kobiecie, że nikt nie śmiał jej się sprzeciwiać.

Poszła tedy i o dziwo, w pół godziny później zjawiła się z trzeźwym już zupełnie Kiwą.

Matce zdała krótką relację w następujących słowach:

— Nuchimowi powiedziałam, że jego siostra jest też sierotą bez ojca i że Pan Bóg ją może skarać za brata, Josłowi powiedziałam, że gdyby jeszcze żył jego brat, to wstydziłby się za niego, a potem huknęłam Kiwę w plecy, wylałam mu na głowę wiadro wody, żeby otrzeźwiał, a później zaprowadziłam go do kuchni Cementów, żeby się osuszył. I powiedziałam mu tak: „Tyś niewart taką Chanę w tyłek pocałować! Co do twoich zas...ch guzików, to ja ci przysięgam na głowę moich dzieci, że ona ich nie ruszy”...

Ku naszemu zdumieniu, Chana nie tylko nie zrobiła żadnej wymówki narzeczonemu, lecz pogłaskała go po głowie i powiedziała z łagodnym uśmiechem:

— Głupi... głupi Kiwo... mnie ciebie tak żal, jakbym była twoją rodzoną matką.

Miesiąc cały upłynął od czasu jak Chana opuściła nasz dom, a nie było od niej żadnej wiadomości.

— Pewnie jest nieszczęśliwa w tym małżeństwie, które tak niefortunnie się zaczęło — mówiono u nas w domu.

Aż oto pewnego dnia syn Chai Rybiarki przyniósł pocztówkę, ozdobioną dwoma całującymi się gołąbkami, w której Chana zapraszała „swoje panienki” w sobotę po południu na ciastka.

Matka oczywiście chętnie pozwoliła i w sobotę po południu poszliśmy odwiedzić naszą Chanę.

Duża, widna izba zrobiła na nas przyjemne i wesołe wrażenie.

Na komodzie porcelanowy Chińczyk od razu potwierdził głową, że w tym domu wszystko jest w porządku.

Na stole, nakrytym białym obrusem, wesoło szumiał samowar, a na talerzach rozłożone były ciastka i ulubiony nasz przysmak — orzechy w miodzie.

Przy herbacie Chana opowiadała nam z ożywieniem o swoich planach na przyszłość.

Tymczasem Kiwa, jak dawniej, pracuje u majstra, a ona pracuje pół dnia w restauracji Cementów, przy czym drugie pół dnia zupełnie jej wystarcza, by utrzymać w należytym porządku swoje gospodarstwo.

W taki sposób nie naruszają złożonego w kasie oszczędności posagu Chany, lecz jeszcze coś niecoś zaoszczędzają.

Jak tylko będą mieli 2500 rubli, otworzą własny warsztat krawiecki połączony ze sklepem gotowych ubrań męskich. Mąż będzie pracować w warsztacie, a ona Chana, będzie sprzedawała w sklepie.

Kiwa patrzył z uwielbieniem na żonę i jak ów Chińczyk na komodzie skinieniem głowy potwierdzał jej każde słowo.

Po herbacie Chana powiedziała:

— Teraz niech panienki posiedzą sobie na ławeczce przed domem, a my tymczasem z Kiwą przygotowujemy niespodziankę.

Bardzo nas zaciekała ta niespodzianka i z niecierpliwością doczekaliśmy się tej chwili, kiedy Chana krzyknęła, że możemy wejść, bo wszystko jest gotowe.

Weszliśmy tedy do mieszkania Chany i ze zdumieniem dostrzegliśmy, że duży kuchenny stół cały jest pokryty jakby wspaniałą, różnobarwną mozaiką.

Z różnokolorowych płaskich guzików ułożone były na stole koła, trójkąty, czworokąty, gwiazdy i arabeski.

Mozaika ta była okolona, niby ramą, szerokim pasem złotych guzików.

W środku tej mozaiki widniały dwa serca, ułożone z czerwonych, lśniących jak rubiny guzików, złączone linią z kryształowych brylantów i mieniących się drobnymi guziczekami.

— To są nasze serca, Chany i moje — obwieścił triumfalnie Kiwa. — Moje guziki należą teraz i do niej, bo ja jej podarowałem połowę.

— No, a gdyby tak Chana pewnego pięknego dnia sprzedała swoją połowę? — zartowała siostra.

— Prędej bym z głodu zdechła! — zawołała z oburzeniem Chana.

Wtedy Kiwa powiedział:

— Chana nie jest zdolna zrobić czegoś podobnego, bo przecież ona jest moja dobra, mądra i... piękna żona.

Usłyszawszy ten ostatni przymiotnik, zagryzłyśmy usta, by nie parsknąć śmiechem, lecz jednocześnie poczułyśmy w sercu radość i spokój: zrozumieliśmy, że raz na zawsze możemy być spokojne o los naszej Chany.

CZARNA GODZINA PAJCI GOTESMAN. OPOWIADANIE CHAI RYBIARKI

— Ach! — powiedziała pewnego razu Chaja Rybiarka, popijając gorącą kawę, którą częstowała ją nasza Chana. — Taka kawa to jest cymes! To jest lepsze od miodu, jak człowiek tak zmarznie! Ale... o czymś my to mówili?

— O czarnej godzinie.

— Więc panienska możesz mi wierzyć i możesz nie wierzyć, czarna godzina albo, jak to niektórzy mówią, „pech”, to nie jest wcale głupstwo! Niektóry człowiek ma już taką złą godzinę, że żeby był nie wiem jak bogaty i pochodził z wielkiej rodziny, i był taki uczony, żeby go cała gmina szanowała, to i tak mu się to wszystko na nic nie przyda.

Na przykład Pajcia Gotesman. Pierwsza familia w całym naszym miasteczku. A jaki sklep! Żebym ja miała tyle w całym majątku, co oni przez jeden dzień utargują! I co za żona! Jak ona robi kugiel! A jaka kupcowa! Powiadam paniencie, żeby mój Icek miał taką głowę do interesów jak ona! I — takie nieszczęście!

Panienska często mówi, że ja lubię stękać na złe czasy, ale ja paniencie coś powiem. Ile razy przypominam sobie historię Pajci Gotesman, tyle razy myślę: „Ty Chaja jesteś biedna i masz tyle kłopotów w głowie, ile włosów na głowie, ale wiesz co? Dziękuj Panu Bogu, że żyjesz sobie spokojnie i utargujesz na swój bochenek chleba i cztery cebule!”

— No więc, cóż za figła ta Chai „czarna godzina” splatała tej biednej kobiecie?

— To samo.

— Co „to samo”?

— To, co panienska powiedziała.

— Ależ ja nic nie powiedziałam!

— Z przeproszeniem panienki, panienska powiedziała „tej biednej kobiecie”, tymczasem jaka to kobieta, kiedy to nie kobieta?!

— Jak to „nie kobieta”?! A cóż takiego?

— Nie kobieta, a mężczyzna. Pajcia albo Paje to jest u nas takie imię, co ono może być dla mężczyzny, a może być i dla kobiety. To on się nazywa Pajcia, jak na przykład panienki brat Aleksander.

— No to dlaczego Chaja mówiła, że Pajcia jest bogatą kupcową i robi taki doskonały kugiel?

— Nie Pajcia, a jego żona.

— Aha, rozumiem. Ale nie widzę jeszcze tej „czarnej godziny”?

— Czarna godzina to, proszę panienki, zaczęła się właśnie od ślubu.

— Przecież sama chwaliłaś jego żonę?

— Chwaliłam. Dlaczego nie miałam chwalić? Ale żona to jeszcze nie wszystko. Oprócz żony jest jeszcze mąż.

— Więc Pajcia jest złym mężem? No, ale w takim razie jest chyba sam winny, a nie żadna „czarna godzina”.

— Ajaj, jaka panienska jest prędką! Kto paniencie powiedział taką rzecz? Pajcia Gotesman wcale nie jest złym mężem! Dlaczego on ma być złym mężem? Taki nabożny kupiec! Taka szanowna osoba!

— Więc?

— Czy panienska zna Moszka Rozenfelda?

— Żałuję, ale nie mam przyjemności.

— Ma panienka czego żałować! Wielka mi przyjemność! Żeby moi wrogowie mieli takie przyjemności! Taki paskudnik, pijanica, łobuz! Taki łapserdak!

— No dobrze, ale co ten Rozenfeld ma wspólnego z Pajcią Gotesman?

— Co on ma wspólnego? On ma dużo wspólnego — on jest właśnie mężem Pajci Gotesman.

— Co takiego?! Jak to mężem?! Niech się Chaja zastanowi, co Chaja mówi?! Przecież przed chwilą objaśniała mi Chaja, że Pajcia jest mężczyzną. Mówiła mi, że jest bogatym i szanownym kupcem i że ma żonę, a teraz znowu mówi, że jest on żoną jakiegoś Rozenfelda?!

— Nu, ja mówiłam. Czy ja powiadam, że ja nie mówiłam, kiedy to wszystko jest rzetelna prawda!

— Nic nie rozumiem!

— Zaraz panienka zrozumie. Tylko ja muszę zacząć od początku. Kiedy Pajcia się urodził, to jego matka była bardzo chora, a jego ojciec chodził przez to jak bez głowy. Więc on posłał na policję dziadka Pajci, który był bardzo stary i trochę głuchy i prawie wcale nie mówił po rosyjsku. To jak ten naczelnik usłyszał, że ten chłopiec nazywa się Pajcia, to on myślał, że ten chłopiec to jest dziewczynka, i tak go zapisał. W domu było wielkie zamieszanie i nikt tego nie zauważył. A i sam Pajcia nigdy do tego papieru nie zaglądał. Po co on miał zaglądać? On i tak wiedział (do stu lat), ile on ma lat i kiedy jemu pora się żenić. A do wojska to wtedy jedynaków nie zabierali.

Otóż, kiedy Pajcia miał już swój wiek, to jego rodzice postarali się dla niego o żonę z takiej samej dobrej i bogatej rodziny jak oni. I wszystko odbyło się jak należy u rabina, a potem zanieśli papiery na policję, żeby tam zrobili ten cywilny interes. I z tego właśnie wyszło całe nieszczęście. Bo trzeba panience wiedzieć, że tego samego dnia żenił się furman Rozenfeld. Z kim on się żenił? On się żenił z Roją, służącą od szynkarza — wielkie miszpuche⁸⁸! I ten Rozenfeld też odniósł na policję swoje papiery.

A nastąpił właśnie do miasteczka nowy komisarz, straszny gwałtownik i pijanica. Ten dawny komisarz — on także lubił wypić. Każdy komisarz lubi wypić. Ale on nie ryczał na ludzi jak dziki zwierzę. On znał wszystkich Żydków w całym miasteczku, on przychodził na szabasową rybę do bogatych kupców i wiedział, co się komu należy. Ten nowy, proszę panienki, to on nie znał nikogo i był już o szóstej rano pijany. Ja panience nie powiem mało, ja panience nie powiem dużo: On ożenił Pajcię Gotesman z Moszkiem Rozenfeldem!

— Co? Jakim sposobem?

— Czy ja wiem, jakim sposobem? On coś zagubił, czy coś przekręcił w tych papierach, dość, że wyszło, że Pajcia Gotesman jest żoną furmana Rozenfelda. Taki bogaty kupiec żoną takiego łapserdaka! Ładny interes, co?!... I panienka jeszcze mówi cywilny ślub... Tfu!

— No, ale przecież można było wyjaśnić, sprostować?

— Wyjaśnić... sprostować... Tak się panience zdaje! Pajci też się tak zdawało. Jak tylko się ta historia wydała, zabrał ze sobą Rozenfelda i poszedł do komisarza, żeby mu wytłumaczyć cały interes. On zaczął mu tłumaczyć, że on ma żonę i Rozenfeld ma żonę i że on nie może być żoną Rozenfelda, bo choć on jest niby kobietą, to on właściwie jest mężczyzną...

Ale myśli panienka, że on go wysłuchał ten komisarz? A jakże! On nie opowiedział jeszcze wszystkiego, a ten jak nie zerwie się, jak nie ryknie, że on sobie żarty z władzy stroi albo jest pijany! To powiadam panience, Pajcia, który jest bardzo delikatny na serce, o mało nie zemdleł ze strachu i szczęśliwy był, jak się już znalazł za drzwiami. Poszedł więc Pajcia z Rozenfeldem do starszego rewirowego, który był już dwadzieścia lat w miasteczku, po radę i zaprosił go do siebie na szabasówkę. Rewirowy przyszedł, wypił dwie butelki, wysłuchał całej historii, długo myślał, a później powiada tak:

— Wie pan co, panie Gotesman? Siedź pan cicho i bądź pan dalej żoną Rozenfelda, bo inaczej może być źle. Czy ja wiem? Mogą pana nawet powiesić!

— Powiesić. Dlaczego powiesić?! Za co powiesić?! Co ja jestem winny!

⁸⁸*miszpuche* (jid.) — rodzina. [przypis edytorski]

— Winny... niewinny... A dlaczego pan masz w metryce, że jesteś kobietą? Powiedzą, że to jakieś żydowskie kręctwo względem wojska. A przy tym pan się dwa razy ożeniłeś. To jest raz się pan ożeniłeś, a raz wyszedłeś za mąż. Pan myślisz, że to wolno?!

Biedny Pajcia aż pozieleniał, jak to usłyszał, i od tego czasu dał spokój wszelkim staraniom. Ale niech panienka posłucha dalej.

Po trzech dniach przychodzi do niego Rozenfeld, staje w drzwiach i powiada:

— Panie Gotesman, wiesz pan co? Daj mi dwadzieścia pięć rubli.

— Czyś ty oszalał, Rozenfeld? — pyta się go Pajcia. — Za co ja ci mam dać dwadzieścia pięć rubli?!

— Mnie się należy odszkodowanie.

— Za co odszkodowanie?! Jakie odszkodowanie?

— Za sklep.

— Za jaki sklep?

— Za pański sklep! Jeżeli ja jestem pańskim mężem, to pana sklep jest i mój sklep. A powiedz pan sam, co ja z niego mam za zysk, jeżeli pan zabierasz wszystkie pieniądze do kieszeni? Albo pan mi dasz dwadzieścia pięć rubli, albo ja już sobie poradzę!

Co miał robić, biedny Pajcia? On dał mu dwadzieścia pięć rubli.

Panienka myśli, że miał długo spokój? Gdzie tam! Ten łobuz, ten łajdak, zaczął do niego przychodzić co parę dni i był coraz bardziej hucpowaty. Z początku to on stawał w drzwiach, a potem to on wchodził do sklepu, a potem to on szedł sobie do mieszkania Pajci, rozwał się na krzesło i tak się z niego wyśmiewał:

— Ty, Pajcia! — powiada. — Czy zrobiłeś już dla swego męża szabasową rybę?

To mówię panience, Pajcia i jego żona aż płakali ze złości i ze wstydu. Aż w końcu odzywa się raz Pajcia do Rozenfelda:

— Słuchaj, Mojsie, dość tego! Ja ci dam dziesięć rubli, no niech będzie piętnaście rubli na miesiąc i siedź cicho! A jak nie, to wiesz, co zrobię?

— Ny, co ty zrobisz? (On już zawsze mówił do niego „ty”. Taki furman, taki łapserdak, do takiego kupca!).

— Ty mówisz, Mojsie, że jesteś moim mężem! Dobrze. Ale u nas jest przecie rozwód! Pójdziemy do rabina!

To ten paskudnik aż się za boki wziął ze śmiechu.

— Rozwód? Ja nie chcę rozwodu! Ty jesteś bardzo dobra żona, Pajcia, i ja ciebie bardzo kocham! A zresztą, spróbuj pójść do rabina, spróbuj. Co ty jemu powiesz? Ty jemu powiesz: „Rabi, ja chciałbym się rozwieść”? To rabin się zapyta: „Rozwieść z swoją żoną Chaną?”.

— Nie, z Mojsiem Rozenfeldem...!

— Ty jesteś bardzo szanowny kupiec, Pajcia, ale za takie kpiny rabin wyrzuci ciebie na zbity pysk!

Co miał zrobić biedny Pajcia? On sprzedał swój interes w naszym miasteczku i wyjechał z żoną (dzieci on nie miał) aż do Warszawy. To ten łobuz i tam się za nim wybierał, tylko że jak wracał pijany do domu, przejechały go konie i umarł.

— No więc wreszcie Pajcia uwolnił się od niego?

— Od takiego łapserdaka można się uwolnić!

— Jak to? Skoro umarł?

— Niech panienka posłucha tylko! W tydzień po śmierci Rozenfelda zjawia się do sklepu Pajci rewirowy i pyta żony Pajci:

— Czy to pani jesteś pani Rozenfeld z domu Gotesman?

To Pajcia zaraz na nią mrugnął i ona powiada, że tak. A ten jak na nią nie wjedzie!

— Wstydu pani nie masz! — krzyczy. — Czy to słyszane rzeczy, żeby taka zamożna kupcowa zostawiała bez opieki swoich czworo dzieci i żeby one wałęsały się po miasteczku, żebrały i kradły?!

Co miał zrobić biedny Pajcia? On musiał pojechać do naszego miasta i zabrać do siebie czworo dzieci Rozenfelda, który rok przed śmiercią owdowiał.

— I wychowuje je?

— Wychowuje. A że on jest nabożny człowiek, to on jeszcze dziękuje Bogu.

— Ciekawam za co!

— Jak to, za co? Za to, że on się pozbył Rozenfelda, za to, że Rozenfeld miał tylko czworo dzieci, a nie dwanaścioro, no i za to, że wszystkie dzieci są, Bogu dzięki, zdrowe, a najstarszy chłopak, co chodzi do gimnazjum, jest nawet trochę podobny do Pajci Gotesman...

KUCZKA MEŁAMEDA I KOZA ZAKRYSTIANA. OPOWIADANIE DWOJRY PIERZARKI

Dwojro Pierzarko, ty, która za życia dawałaś ludziom, co tylko mogłaś i więcej, niżeli mogłaś, nie przypuszczałaś chyba, że i po twojej śmierci ktoś cię wykorzysta.

Nie rozumiałaś na pewno znaczenia słów „plagiat literacki”, a gdybyś nawet rozumiała, na pewno byś mi wybaczyła.

A jednak nie chcę popełnić plagiatu i zaznaczam, że twoje jest to opowiadanie o okrutnej zemście i o świętym przebaczeniu.

Twoje są, dokładnie przeze mnie powtórzone, słowa.

A jeżeli nie przemówi do ludzi ta opowieść, jak ongi do mnie przemówiła, to chyba dlatego, że nie zawtóruje tym słowom promienny błysk twoich niby to starczych i przysgasyłych oczu i mądry, łaskawy uśmiech twoich warg bladożółtawych jak zawiędłe płatki kwiatu.

Znacie przecież te dwa domki obok kościoła, prawda?

W pierwszym, przy samym kościele, i teraz jeszcze mieszka zakrystian, w drugim jest piekarnia Fiszla.

Otóż za dawnych czasów, kiedy was jeszcze na świecie nie było, a ja miałam wszystkiego szesnaście lat, w pierwszym mieszkał dawny zakrystian, którego nazwiska nie pamiętam, a w drugim melamed, Abram Kalosznik.

Nie można powiedzieć, żeby te dwie sąsiadki, melamedowa i zakrystianowa, żyły ze sobą jak siostry, bo co tam między nimi mogło być wspólnego, ale żadnej wrogości też między nimi nie było. Przeciwnie, często jedna drugiej pożyczyla jakąś balię lub kubel, trochę herbaty, cukru lub soli, jak to tam bywa między sąsiadkami.

A dzieci ich nawet razem się bawiły na ulicy albo na trawniku obok studni, bo oba domy miały wspólną studnię.

Aż tu raz jednego zdarzył się taki, głupi na pozór, wypadek, który wszystko zepsuł i zniszczył i mógł doprowadzić do najgorszych rzeczy... no, ale będę opowiadać po kolei.

Zbliżyły się święta i melamed zaczął, z pomocą cieśli Fajgiela, budować na swoim podwórku kuczka⁸⁹.

Trzeba wam wiedzieć, że każdy człowiek na świecie ma swoją ambicję — chce czymkolwiek prześcignąć drugich ludzi.

Na przykład, niedaleko szukając, Chaja Rybiarka chwaliła się, że nikt tak dobrze, jak ona, nie wie, co się dzieje w całym mieście, felczer Lewkowicz jest dumny, że nikt w miasteczku tylu książek nie przeczytał, żona pisarza, że nikt oprócz niej nie posiada kapelusza ze strusim piórem, a Ruchla Fajerka szczyli się tym, że nikt w mieście oprócz niej nie ma syna doktora. Jestem pewna, że nawet te paskudne kobiety są dumne z tego, że nikt oprócz nich nie ma czerwonych jedwabnych firanek w oknach i czerwonej latarni przed domem.

Krótko mówiąc, każdy chce się czymś pochwalić i wywyższyć nad innymi ludźmi.

Otóż ten melamed, Abraham Kalosznik, także miał swoją ambicję: on twierdził, że nikt w miasteczku, nawet sam rabin, nie ma tak pięknej, jak on, kuczki.

I rzeczywiście to nie była kuczka, to był cały gmach!

Taka była duża ta kuczka, że można było w niej urządzić bal albo wesele, i tak porządnie zbudowana, że daj mi Boże mieć kiedyś takie mieszkanie: drzwi porządnie wykończone, okna ze szybami, podłoga gładko zheblowana, a dach z choiny przetykanej takimi czerwonymi jagodami, co one nazywają się jarzębina. W tej kuczce od choiny, od tej jarzębiny i od świeżego drzewa pachniało tak ślicznie, jak w raj. Jednym słowem — pałac, a nie kuczka!

⁸⁹kuczka (hebr. *sukka*) — szałas budowany w święto Sukkot, mający przypominać o opisaney w *Księdze Wyjścia* wędrówce ludu wybranego z Egiptu do Ziemi Obiecanej, kiedy to Żydzi zmuszeni byli prowadzić koczowniczy tryb życia. [przypis edytorski]

Ambicja

Święto, Obyczaje

Otóż tego roku, kiedy ja skończyłam szesnaście lat, zdarzył się taki wypadek. Mełamed z cieślą wykończyli kuczka po południu, a wieczorem mieli tam jeść razem z rodziną jego i żony, które zaprosił do tej wspaniałej kuczki na wspólną ucztę.

Przychodzą tedy wszyscy i co widzą? Kuczka jest bez dachu, wszystka choina na ziemi, a koza zakrystianowej dojada sobie ostatnie gałęzie...

Jak ona tam się dostała, ta koza (niech ona będzie przeklęta!), kto to może wiedzieć? Może ją podsadził jakiś przechodzący ulicznik, a może sam diabeł? Ale mełamedowa zaczęła zaraz krzyżeć, że to zakrystianowa wpuściła kozę na jej podwórko i pewnie zerwała wszystkie gałęzie z dachu, bo koza sama nie dałaby sobie rady. I jeszcze wykrzykiwała mełamedowa, że żona zakrystiana zrobiła to nie tyle, aby nakarmić swoją kozę, lecz żeby zlekceważyć żydowskie święto.

Zakrystianowa, która, jak mi się zdaje, istotnie nie była winna, uniosła się także i zaczęła krzyżeć, że ona ma za przeproszeniem w tyłku mełamedów, ich rodzinę, kuczka i wszystkich Żydów na świecie. Nawet nie wiem, gdzieby się w takim miejscu mogło pomieścić wszystko, co ona wtedy wyliczyła.

Na to mełamedowa odpowiedziała, że zakrystianowa powinna mieszkać w domu pod czerwoną latarnią, a nie sąsiadować z porządnymi ludźmi.

Od tego czasu zaczęło się między sąsiadkami istne piekło. Zdawałoby się, że obie te kobiety przestały żyć dla siebie, dla swego męża i dzieci, a tylko po to, aby jedna drugiej dokuczyć lub ubliżyć posądzeniem o jakieś paskudne sprawki.

Zakrystianowa miała przy swoim domu mały ogródek, w którym sadiła kapustę.

Pewnego razu podczas nieobecności zakrystianowej, ta sama podła koza (czarny rok na nią!) weszła do ogródka i zaczęła wyżerać całą kapustę.

Mełamedowa widziała to dobrze ze swego okna, ale się nawet nie ruszyła z miejsca.

„Niech diabli wezmą jej kapustę, jak wtedy dach mojej kuczki!” — myślała z zadowoleniem.

Wraca z miasta zakrystianowa i dostrzega, co się u niej dzieje. I dopiero zaczyna krzyżeć i pomstować, że to mełamedowa odwiązała kozę i wpuściła do jej ogródka. A mełamedowa zadowolona, jakby wygrała na loterii.

Innym razem mełamedowa uprała bieliznę i powiesiła na sznurach za domem. W kilka godzin później patrzy, a cała jej bielizna na ziemi.

Kto wie, może sznury były zbutwiałe i przerwały się, może wiatr był wyjątkowo silny, ale mełamedowa zdecydowała od razu, że to zakrystianowa zerwała sznurki, by zmarnować jej ciężką pracę. I znowu zaczęły się wymyślania i przekleństwa — istna obraza boska.

To były tylko takie gospodarskie drobnostki, ale później zaczęły się dziać gorsze rzeczy.

Ktoś tam naszczekał księdzu, że zakrystian się upija i że nawet widziano go w domu paskudnych kobiet.

Ksiądz zrobił mu ostrą wymówkę i zagroził wydaleniem. Wówczas zakrystianowa zdecydowała od razu, że Żydzi lubią pisać „donosy”, więc to na pewno mełamedowie napisali anonimowy list do księdza.

Wysła więc przed dom i krzyknęła:

— Ty, suko jedna, ty parszywa Żydowico, ty chcesz pozbawić mego męża kawałka chleba, ale niedoczekanie twoje! Ja przedtem zrobię tak, że ty i twój mąż, i twoje dzieci z głodu zdechniecie!

Istotnie, od tego czasu, co zobaczy jakiegoś idącego do chederu Kalosznika żydowskiego bachorka, zaraz go potrąci lub uderzy, wykrzykując przy tym:

— Idź do drugiego chederu, bo ja was tu wszystkich, co do tego parszywca chodzicie, jak wszy powybijam!

Te pogróżki zaczynały skutkować i już niektóre matki odebrały swe dzieci od mełameda Kalosznika, aby umieścić je w drugim chederze, gdzie nie ma w sąsiedztwie takiej jędzy.

Zrazu, kiedy chodziło tylko o gospodarskie drobnostki, obaj mężczyźni, zakrystian i mełamed, nie przyjmowali udziału w tych kłótniach i nawet próbowali łagodzić rozjuszone kobiety.

Ale kiedy zaczęły się poważniejsze sprawy, znenawidzili się wzajemnie i zaczęli życzyć jeden drugiemu w sercu swoim i w słowach nagłej śmierci.

Najgorsze jednak było to, że nienawiść ta udzieliła się dzieciom zakrystiana i dzieciom

Nienawiść, Konflikt

mełameda.

Dzieci mełameda i dzieci zakrystiana przed tą nieszczęsną historią z kozą i kuczką bawiły się często razem i żyły dość zgodnie.

Oczywiście, jak to bywa między dziećmi, czasami się poczuły albo trochę pobiły, ale w gruncie rzeczy nawet się wzajem lubiły.

Teraz za przykładem rodziców zaczęły dokuczać jedno drugiemu.

Zwłaszcza chłopcy. Dawniej wiedziały dobrze te łobuzy, że jak który przebierze miarkę, to dostanie wały, a teraz nie tylko czuły bezkarność, ale wiedziały, że rodzice patrzą z zadowoleniem na te ich podłe figle. W końcu zaczęli ci chłopcy rzucać na siebie kamieniami, a matki mówiły co najwyżej: „Nie rzucaj kamieni, bo on także rzuci i ciebie zabije”. Ale żadna z nich nie powiedziała: „Nie rzucaj kamieni, *bo ty jego możesz zabić*”.

Tak, tak, do tego już, powiadam wam, doszło.

I oto pewnego razu stało się, co się w takich warunkach stać musiało — wielkie nieszczęście.

Pewnego dnia mełamedowa i zakrystianowa posłały swoich chłopców do wspólnej studni.

Obaj chłopcy dobiegli jednocześnie i od razu zaczęła się kłótnia.

— Ja pierwszy przyleciałem! — krzyknął mełamedowy Motel.

— Łżesz jak pies, to ja pierwszy! — odpowiedział Stasiak zakrystiana.

— Ty sam łżesz jak pies, a ja zawsze prawdę mówię.

— Żydowskie nasienie!

— A ty jesteś pijackie nasienie!

— Dla was, Żydów, w sam raz do picia plwociny, niepotrzebna wam woda!

— To ja na ciebie pluję — odpowiedział Motel i plunął w twarz Staśkowi.

— Ja ciebie, parszywczu, za to plunięcie w studni utopię! — zaryczał Stasiak, zbliżając się do Motla.

— Prędeż ja ciebie utopię, nie ty mnie!

I obaj chłopcy zaczęli się szamotać tuż obok studni.

Przeżalone matki wybiegły ze swych domów, ale było już za późno.

Nim dobiegły, by ratować swoje dzieci, obaj chłopcy, bijąc się i szamocąc, wpadli jednocześnie do studni.

Kobiety oniemiały z bólu i przerażenia.

Nie tylko nie mogły się poruszyć, ale głosu nie mogły wydobyć z gardła, by wołać o ratunek.

I oto w tej chwili przechodził drogą jakiś podróżny człowiek w długim szarym płaszczu. Mówię: podróżny człowiek, bo nikt go przedtem nie widział i nikt go potem już nie zobaczył w miasteczku. Według mnie to nie był żaden człowiek, lecz Anioł Pojednania, którego Pan Bóg wysłał na ziemię, by ratować nienawiścią zatrute serca tych ludzi i ich dzieci.

Jak on te dzieci ze studni wyciągnął, tego wam szczegółowo wyjaśnić nie mogę. Może wstawił do studni stojącą obok domu zakrystiana drabinę, może założył jakiś sznur, tego nie wiem i zresztą nie o to tu chodzi. Dość że wyratował obu chłopców i matkom ich oddał.

Pierwszego wyciągnął syna zakrystiana, a matka zamiast biec do domu z przemokłym i drżącym chłopcem, stoi, patrzy i modli się głośno: „Boże Świąty, Boże Miłosierny, spraw, żeby i jej syn był uratowany”.

I tak się też stało.

I wówczas ów podróżny człowiek, a właściwie ten Anioł, bo skądżeby obcy człowiek mógł wiedzieć, co się dzieje w sercach tych kobiet, przemówił. I powiedział im tak:

— Głupie, głupie i złe kobiety! Obie jesteście matki, obie w wielkiej męce rodziłyście wasze dzieci i każda by z was chciała, aby jej syn wyrósł na dobrego i uczciwego człowieka. A oto do czego doprowadziłyście swoich synów, do nienawiści i niemal do zabójstwa. Zapamiętajcie, póki jeszcze czas na skruchę i poprawę, zapamiętajcie sobie jedno: wiele na świecie jest win i wiele zbrodni, ale największym zbrodniarzem jest ten, *który sieje nienawiść w sercu dziecka*.

I podróżny człowiek, czy też Anioł, odszedł i wkrótce zniknął im z oczu.

Wina, Zbrodnia,
Nienawiść, Dziecko

A wówczas obie kobiety powiedziały prawie jednocześnie te same słowa:
— Bardzo się cieszę, że wasze dziecko zostało uratowane...
I w sercach ich zrobiło się cicho... bardzo cicho...

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/halicz-ludzie-ktorzy-jeszcze-zyja>

Tekst opracowany na podstawie: Czesław Halicz, *Ludzie, którzy jeszcze żyją*, Towarzystwo Wydawnicze "Rój", Warszawa 1934.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>).

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopec, Wojciech Kotwica.

Publikację wsparli i wsparły: Zbigniew Malinowski.

ISBN 978-83-288-5850-3

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przeznacz 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przeznacz darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).